MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 2. WARSZAWA, 12 STYCZNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

CZYNNIKI POZAPAŃSTWOWE

W POLITYCE MIĘDZYNARODOWEJ

PRZEŻYWAMY, naskutek wyprawy afrykańskiej Włoch, okres ostrego napięcia w stosunkach międzynarodowych. Okresy takie są niezmiernie interesujące dla obserwatora życia politycznego ludzkości. Uwydatnia się bowiem wówczas, lub też ujawnia się działanie sił i praw rządzących życiem ludzkiem na ziemi.

Dzięki wojnie afrykańskiej dowiedziała się szeroka opinja o interesach i dążeniach Anglji na morzu Śródziemnem i w Afryce oraz o prądach nurtujących społeczeństwo angielskie. Mieliśmy możność spojrzeć głębiej w życie wewnętrzne narodu francuskiego, poznaliśmy lepiej Włochy ery faszystowskiej, odsłoniła raz jeszcze swe oblicze polityka Stanów Zjednoczonych...

Możnaby wyliczenie to snuć dalej, biorąc pod uwagę życie i politykę poszczególnych państw i narodów. Nie zrobimy tego, chodzi nam bowiem w tej chwili o co innego — o wskazanie na te czynniki polityki międzynarodowej, które w czasach normalnych się nie ujawniają lub też nie uwydatniają dostatecznie, a jednak, mimo to, stale oddziaływają na bieg dziejów. Mamy tu na myśli naród, który nie posiada własnego państwa, lecz ma własną politykę — żydów, mamy dalej na myśli organizacje międzynarodowe czy — jeśli kto woli — ponadnarodowe, które działają w ukryciu, a więc wolnomularstwo, komunizm i międzynarodówki: plutokratyczną i socjalistyczną.

Wszystkie te czynniki ujawniły się bardzo wyraźnie przy okazji wyprawy afrykańskiej Włoch i prowadzą wytężoną działalność polityczną różnemi sposobami i drogami, przedewszystkiem jednak poprzez Ligę Narodów w Genewie. Mimo to bardzo wielu ludzi, nawet z pośród tych, co się polityką interesują, nie chce dotychczas przyznać, że poza polityką państw istnieje polityka narodu bezpaństwowego i polityka międzynarodówek, reprezentujących pewne powszechne prądy ideologiczne. Przyczynia się do tego walnie fakt, że zarówno ów naród bezpaństwowy, jak owe międzynarodówki zabiegają bardzo starannie o to, by ich istnienia nie brano w rachubę, ukrywają się za kulisami sceny światowej, działają poprzez różne obozy i organizacje w poszczególnych państwach, lub też poprzez organizacje międzynarodowe, wśród których na pierwszem miejscu należy postawić Ligę Narodów. Tymczasem dla zrozumienia tego, co się dzieje i dla możności prowadzenia własnej polityki z całą świadomością i objęciem całokształtu interesów własnego kraju, trzeba wiedzieć o istnieniu tych czynników ukrytych i rozumieć ich cele, interesy i metody działania. Jeśli się je pominie, to zgoła nic zrozumieć nie można z polityki międzynarodowej, ani też działać celowo i skutecznie.

Dlatego to powracamy wciąż do tego tematu i powracać do niego nie przestaniemy dopóty, dopóki opinja polska nie weźmie w rachubę tych sił ukrytych, podobnie jak po szeregu lat pracy publicystów obozu narodowego musiała wziąć w rachubę istnienie w Polsce i w świecie wolnomularstwa i przyznać jego duży wpływ na dzieje i na życie narodów współczesnych.

Wszystkie wymienione powyżej czynniki ukryte, zajęły wyraźnie, a nawet namiętnie, stanowisko przeciw Włochom. Nie dlatego oczywiście, by im cokolwiek zależało na losach Abisynji, lecz dlatego, że z wyprawą włoską do Afryki są związane ich bardzo wyraźne i bardzo żywotne interesy. Jakie? Na to pytanie zamierzamy tu pokrótce odpowiedzieć.

Żydzi są zagrożeni rozwojem nacjonalizmu wśród narodów Europy. Zwłaszcza tam, gdzie żyją w większej ilości w rozproszeniu. Przykładem klęsk, jakie spaść mogą na lud żydowski, jest to, co się dzieje w Niemczech. Byliby oni dotknięci jeszcze bardziej, gdyby rządy przeszły w ręce nacjonalistów w państwach położonych na wschód od Rzeszy niemieckiej, tam, gdzie mieszka najwięcej żydów w największych skupieniach, gdzie jest konieczny dla istnienia narodu żydowskiego jego rezerwuar „ludowy“. Lecz nawet we Francji, czy w Anglji nacjonalizm aryjski jest dla żydów niebezpieczny, bo zajmują oni tam poczesne miejsce w życiu gospodarczem i kulturalnem, w finansach, w polityce i t. d.

Faszyzm, wobec małej ilości żydów we Włoszech (około 50.000), nie zwrócił dostatecznej uwagi na to zagadnienie, nie dał więc żydom powodu do wrogiego w stosunku do siebie nastawienia. Lecz polityka żydowska kierować się musi tem przeświadczeniem, że odsunięcie od władzy w państwie włoskiem obozu nacjonalistycznego byłoby silnym ciosem, zadanym prądowi narodowemu w Europie.

Ludzie kierujący polityką żydowską sądzą prawdopodobnie, że upadek faszyzmu pociągnąłby za sobą upadek hitleryzmu, co odwróciłoby całkowicie bieg dziejów i usunęłoby grożące ludowi żydowskiemu niebezpieczeństwo konieczności emigracji stopniowej z terytorjum państw europejskich. Jest zaś duże prawdopodobieństwo w przypuszczeniach, że klęska, poniesiona przez Włochów na polu walki w Afryce, byłaby końcem faszyzmu. Czyż można się tedy dziwić, że polityka żydowska pracuje wszędzie i to z natężeniem przeciwko Włochom?

Nie należy zapominać o tem, że jednem z pierwszych zarządzeń Mussoliniego po dojściu do władzy było zamknięcie lóż i zabronienie urzędnikom i wojskowym należenia do masonerji. Każdy przyjmowany do Związku faszysta musi złożyć przyrzeczenie i podpisać zobowiązanie, że nie należy do wolnomularstwa. Ideologja faszyzmu, podobnie jak ideologja wszelkich obozów nacjonalistycznych w Europie — jest sprzeczna z ideologją masońską. Dojście do władzy prądów narodowych w państwach europejskich byłoby zepchnięciem wolnomularstwa z obecnego stanowiska, byłoby właściwie końcem jego roli światowej. W ostatnich czasach loże poniosły szereg dotkliwych klęsk. Uległy rozwiązaniu we Włoszech, w Niemczech i w Portugalji; zaplątały się w brzydkie afery, jak Stawiskiego we Francji lub Straussa w Hiszpanji; tracą szybko wpływ na umysły młodego pokolenia, ideologja ich nie odpowiada czasom obecnym w Europie...

Jasnem jest tedy i koniecznem, że wolnomularstwo uważa za swego największego wroga nacjonalizm i organizacje narodowe w państwach europejskich. Zabiega tedy gorliwie albo o zniszczenie ich, albo też o rozsadzenie od wewnątrz przez wślizgnięcie się do nich i zmianę ich istotnych tendencyj przy zachowaniu pozorów. Wolnomularstwo pracuje tedy usilnie przeciw Włochom, sądzi bowiem słusznie, że powrót narodu włoskiego do ideologji masońskiej stałby się początkiem reakcji przeciw nacjonalizmowi w innych krajach europejskich.

Wreszcie przechodzimy do plutokracji i socjalizmu wraz jego odmianą, komunizmem. Będąc z sobą w zaciętej walce, wyrastają plutokracje i marksizm z jednego pnia. Są w jednakowej walce z nacjonalizmem. W obozie plutokracji odgrywają przedewszystkiem wielką rolę żydzi, a następnie broni ona obecnych form międzynarodowego życia gospodarczego, które są warunkiem jej istnienia. Nowe prądy narodowe natomiast dążą coraz wyraźniej do zasadniczych zmian w gospodarce światowej. Prądy te usuwają równocześnie z powierzchni życia stronnictwa socjalistyczne i uderzają w podstawy ideologji marksistowskiej, w ideję walki klas!

Komunizm nie jest dziś zmuszony do walki o swe istnienie. Pozycja, jaką zdobył w Rosji, zrobiła zeń prąd nie wysychający, lecz rozlewający się coraz szerzej. Odrzuciwszy elementy demokratyczne i humanitarne z socjalizmemu, hołdując daleko idącemu realizmowi politycznemu, jest komunizm bardziej przystosowany do ducha czasów nowych, ma w sobie czynniki podboju i ekspansji, jest właściwie jedynym dziś realnym konkurentem ideowym nacjonalizmu w Europie Zachodniej. Stąd jego walka z „faszyzmem“ wogóle i z faszyzmem włoskim w szczególności; stąd jego gorliwość genewska, mimo całego „burżujstwa“ owej Genewy, stąd poparcie polityki sankcyjnej W. Brytanji... Zamęt w państwach „burżuazyjnych“, a nawet wojna otwierałyby więc daleko idące możliwości przed komunizmem — aż do komunizowania całej Europy Zachodniej włącznie. Bolszewizm rosyjski pozbył się wprawdzie teoretyka rewolucji powszechnej Trockiego i wraz ze Stalinem wszedł na tory polityki rosyjskiej, lecz zaprzeczyłby samemu sobie, gdyby nie skorzystał z możliwości zdobycia dla swej ideologji całej Europy i wprowadzenia w niej podobnego ja-

ki ma u siebie ustroju społecznego i gospodarczego.

Tak nam się przedstawiają dążenia owych czynników ponadpaństwowych w polityce światowej. Punktem wyjścia do ustalenia i oceny tych dążeń musi jednak być uznanie, że czynniki te istnieją, działają i są współtwórcami dziejów.

STANISŁAW KOZICKI

ROLA LITERATURY W SOWIETACH

(ODCZYT WYGŁOSZONY PRZED MIKROFONEM „POLSKIEGO RADJA" W DNIU 3.XII.1935 r.)

ODRĘBNOŚĆ sowieckiego życia kulturalnego polega, przedewszystkiem, na całkowitem podporządkowaniu go woli państwa. Przeglądając numery *„Litieraturnoj Gaziety"* odnosi się wrażenie, że jest to dziennik urzędowy jakiegoś ministerstwa. Obok rozkazów - odezw, nawołujących na front dziecięcy, „kołchozny" lub fabryczny, znajdujemy tam upomnienia za niedbałość i nagany za „odchylenia od linji stalinowskiej". Krytyka sowiecka, niesłychanie drobiazgowa i pedantyczna, czatuje z marksistowską miarką na każdy nowy utwór, aby wydać wyrok surowy i bezapelacyjny o jego klasowej szkodliwości.

Oczywiście w takich warunkach nie może być mowy o istnieniu w Sowietach literatury w zachodnio-europejskiem znaczeniu tego wyrazu, bo te dzieła, które ukazują się obecnie na rynkach księgarskich Sowietów, nie stanowią właściwie literatury, a raczej literacką, na wysokim poziomie postawioną i doskonale zorganizowaną propagandę.

Drugim czynnikiem decydującym o odrębności literatury sowieckiej jest fakt całkowitego niemal odseparowania 160-cio miljonowego narodu od zagranicy. Bliżej jest z Warszawy do Moskwy, niż odwrotnie, i ten pozorny paradoks znajduje potwierdzenie w fakcie, że Europejczyk, nie przejeżdżając granicy, może wyrobić sobie dokładny sąd o rzeczywistości rosyjskiej, ale inteligentny obywatel Związku Sowieckiego nic prawie nie wie o duchowych i materjalnych zdobyczach narodów europejskich. Sucha wzmianka dziennikarska o posiedzeniu Ligi Narodów, czy strajku — to zamało, aby zrozumieć Europę.

Wreszcie trzecim czynnikiem decydującym o obliczu literatury sowieckiej, jest odrębność duchowa Rosjan. Rozwiązanie tajemnicy psychiki rosyjskiej było od szeregu lat celem dociekań i w rezultacie wszystkie dotychczasowe jej definicje okazały się błędne, gdyż nie jest ona ani irracjonalna, ani aspołeczna. Pod rosyjską niewiadomą trzeba podstawić jakąś inną wartość; dokąd ona nie zostanie ustalona, dotąd jesteśmy narażeni na niespodzianki na każdym odcinku życia rosyjskiego.

Czysto utylitarny stosunek Sowietów do piśmiennictwa znalazł swój wyraz w selekcji tej części literatury przedwojennej, która wnosiła do rewolucji kapitał emocjonalny. Nie zapominajmy, że przez sto lat *gros* piśmiennictwa rosyjskiego tętnił buntem przeciwko caratowi i usprawiedliwiał przyszłą rewolucję. Ono utorowało drogę bolszewizmowi przez gloryfikację konspiracji i działalności wywrotowej, Może ideały bohaterów powieści nie zawsze pokrywały się z komunizmem, ale tego dzisiejszy czytelnik sowiecki nie spostrzeże. Ideje, głoszone przez dawnych pisarzów, były zwykle tak mgliste, że można podstawić na ich miejsce dowolną doktrynę, nie wyłączając leninizmu.

Trzeba przyznać partji rządzącej, że potrafiła przez odpowiedni dobór tekstów i umiejętne ich skomentowanie przystosować dawną literaturę rosyjską do swych celów państwowo - wychowawczych. Widziałem wypisy literackie dla klas starszych szkół sowieckich, w których teksty były tak doskonale dobrane, że w świetle ich wszyscy pisarze rosyjscy, poczynając od Tatiszczewa, wydawali się najczystszej wody komunistami.

Literatura przedwojenna zasadniczo wystarczała bolszewikom w momencie przewrotu, bo uzasadniała jego konieczność, ale, już z chwilą powstania państwowości sowieckiej rodzi się szereg nowych potrzeb, nieprzewidzianych przez zwiastunów rewolucji.

Na plan pierwszy wysuwa się konieczność propagowania organizacji, powołanej do obrony nowego *status quo* — t. j. Czerwonej Armji. Hasła negatywne już nie wystarczały — trzeba było stworzyć specyficzny patrjotyzm klasowo-państwowy, o zabarwieniu zdecydowanie imperjalistycznem. Powstaje pokaźna ilościowo literatura, gloryfikująca armję. Walka z wrogiem klasowym, czyli, mówiąc językiem zwykłym, wojna z wrogami Związku Sowieckiego, nabiera cech wojny świętej. Reportaże z frontu, pamiętniki i powieści z wojny domowej i polskiej, pisane w zaraniu państwa sowieckiego, przeniknięte są tym swoistym patrjotyzmem. Historyczna wartość tych dzieł jest minimalna, ich wartość artystyczna jeszcze mniejsza. Pisarze tej epoki raczą nas hymnami na cześć wojny, lecz nie jakiejś górnej i chmurnej, w połysku mieczów i poszumie sztandarów, ale głodnej, chłodnej i brudnej, z mordowaniem bezbronnych jeńców. W inną prawdę nie uwierzyłoby społeczeństwo, które przez cztery lata żyło w tym koszmarze. „My obrócimy się do was swą azjatycką twarzą" — woła sowiecki poeta Aleksander Błok. Istotnie, azjatyzacja, a może afrykanizacja literatury w pierwszych latach rewolucji robiła zastraszające postępy. Wychowanek odeskiego *ghetta*, komisarz Babiel, pisze swe szkice językiem lupanarów, a po metafory i porównania sięga do wenerologji. Z sadystyczną rozkoszą nurzają się ci autorzy w swoich i obcych zbrodniach, od czasu do czasu szpikując opowieść tanim patosem rewolucyjnym. Ale... *de gustibus non est disputandum...* Jeden z naszych krytyków, p. Stanisław Baczyński nazwał „Komarmję" Babiela aż... epopeją.

Taka literatura wystarczała, być może, w oparach krwi i trzasku kulomiotów, ale jej wartość państwowo-wychowawcza była minimalna. Aby obudzić w młodzieży kult oręża, trzeba było, *nolens volens*, zapożyczyć od „zgniłego Zachodu“ trochę idealizmu. Idąc po tej linji, sowiecka beletrystyka wojenna przeszła dość uciężliwą drogę od Sejfulinej do współczesnego nam Garrego, który ubrał czerwonoarmiejca w pióropusz rycerza, strój dla komunisty trochę niestosowny. Mam na myśli doskonałą książkę Garrego „Ogień”, ze wszech miar zasługującą na tłumaczenie. Wnosi ona do literatury historycznej ogromny materjał anegdotyczny z wojen polsko-sowieckiej i ukraińsko-sowieckiej. Niektóre fragmenty tej książki są wprost doskonałe, że wymienię tu opowiadanie o polskim generale, który, podstępnie wzięty do niewoli bolszewickiej, zgodził się oddać swą szablę tylko równemu sobie rangą szlachcicowi i... postawił na swojem. Inna anegdota mówi o zahukanym burmistrzu, austrjaku z Małopolski Wschodniej, który, chcąc się przypodobać wchodzącym do miasta czerwonym wojskom rosyjskim, powitał je hymnem: „Boże caria chrani” i t. d. Autor z rzadką kurtuazją wyraża się o Polakach, składając hołd ich męstwu.

Zupełnie wyjątkowe stanowisko zajmuje w wojennej literaturze sowieckiej powieść Szołochowa: „Cichy Don”. Dosyć bezstronnie maluje w niej autor rozpaczliwe walki kozaków z czerwonemi wojskami. Do tej wartościowej książki jeszcze kiedyś powrócimy.

Religją nowej Rosji jest wiara w przyszłość. Wszystkie światoburcze poczynienia rządu odbywają się pod znakiem lepszej przyszłości. Gdyby wiara w nią załamała się, ustrój sowiecki straciłby grunt pod nogami.

Sowiety doskonale to sobie uświadamiają i dlatego szturmowe brygady literatów zostały pchnięte na „front przyszłościowy” na obu głównych odcinkach: fabrycznym i „kołchoznym”.

Bez względu na to, jakbyśmy ustosunkowali się do sowieckich poczynań gospodarczych, należy stwierdzić bezstronnie, że znaczne kadry młodego pokolenia przystąpiły do realizowania ich z gorącą wiarą i szczerym zapałem. Składając hołd entuzjazmowi sowieckiej młodzieży, musimy jednak skonstatować, że dotychczasowe wyniki jej pracy nie są zbyt imponujące i w każdym razie nie usprawiedliwiają hałaśliwych p r z e c h w a ł e k sowieckiej literatury. Niewątpliwie, że Dnieprostroj, czy Magnitogorsk zasługiwałby na podziw, gdyby nie powstały w kraju o tak nieograniczonych możliwościach jak Rosja. Na tle jej 20 miljonów km. kw. osiągnięcia te wydają się dość nikłe.

Typową powieścią poświęconą „rozbudowie“ jest „Sot” Leonowa. Posiada ona wszystkie wady i zalety tego rodzaju książek. Z dużem znawstwem kreśli autor dzieje fabryki papieru, zbudowanej wysiłkiem kilku entuzjastów, w dziewiczych lasach nad brzegami Soti. Fragmenty, poświęcone walce ludzi z rozszalałą rzeką, lub napływającą do dołów gliną, są wspaniałe. Niezłe są również obrazki rodzajowe z życia robotników i mnichów z sąsiedniego klasztoru. Ale, wchodząc na śliskie tory psychologji, autor traci grunt pod nogami. Jego ideał silnego człowieka bez namiętności razi nas swą sztucznością. Maszyny u Leonowa żyją, ale ludzie są martwi.

Gdybyśmy chcieli w paru słowach określić bohaterów Leonowa, to —pomijając ich psychologiczne nieprawdopodobieństwo — s ą t o l u d z i e b e z o s o b i s t e g o s z c z ę ś c i a i w tych sześciu słowach zamknęlibyśmy wszystko istotnie, co powiedział Leonow o współczesnym człowieku sowieckim.

Nie znam sowieckiej powieści, poświęconej „rozbudowie”, gdzie nie występowałaby szablonowa postać „szkodnika-kontrrewolucjonisty”, coś jakby „czarny charakter” w filmie amerykańskim. Naiwna tendencyjność tej postaci psuje często skądinąd dobrą książkę. Zresztą i tu zdarzają się wyjątki, ale w 99% powieści „szkodnik” jest jakimś półgłówkiem, który sam nie wie, czego chce. „Kontrrewolucjonista” Leonowa—Wisarjon jest dla odmiany nihilistą, ale jego nihilizm jest tak mętny, jak uboga jest wiedza polityczna autora.

Z pośród powieści, poświęconych „rozbudowie” na terenie kołchozów, prawdziwem arcydziełem jest książka znanego już nam Szołochowa: „*Padniataja celina*” (Zorany ugor). Szołochow, propagując kołchozy, nie ukrywa bolesnej prawdy o losie chłopów i w tem tkwi jego nieprzemijająca wartość.

Oto, na początku pierwszego tomu, odbywa się wywłaszczenie z mienia bogatych chłopów, t. zw. „*razkułaczywanie*“. Gospodarzy z żonami i dziećmi odsyła się, w jednem ubraniu, w drodze administracyjnej do krajów podbiegunowych. Ofiary wybiera, według swego widzimisię, sekretarz wiejskiej „komjaczejki”. Komunista Razmiotniew, po dokonaniu „*razkułaczenia*” chłopa z jedenaściorgiem dzieci, przychodzi do „komjaczejki” i oświadcza, że z dalszej roboty rezygnuje: „Czy ja kat? Czy mam serce z kamienia? On ma jedenaścioro dzieci. Jak one płakały... Mnie aż włosy dęba stanęły... Zaczęliśmy ich wypędzać... Dzieci cucono wodą... Idźcie wy do wszystkich djabłów z taką pracą!” „Gadzino!” — krzyknął drugi komunista — „to tak służysz rewolucji? Ty mi tu postaw tysiąc dziadów, dzieci, czy bab i powiedz, że trzeba ich zlikwidować... w interesie rewolucji. Zaraz ustawiam kulomiot i z miejsca ich pozabijam.”

W powieści Szołochowa również występuje „szkodnik — kontrrewolucjonista”. Jest nim rotmistrz Poławcew — postać z krwi i kości, w niczem nie przypominająca karykaturalnego Wisarjona z „Soti”.

Kolektywizacja rolnictwa i „rozbudowa” przemysłu są to dwa główne źródła, z których czerpie natchnienie literatura sowiecka. To zgóry przesądza jej tematyczne i problematyczne możliwości. Zdegradowanie literatury do rzędu instytucyj propagandowych wyciska na niej swoiste piętno.

Nie przesądzając przyszłości reform sowieckich, podziwiać należy ofiarność współczesnego pokolenia, które, w imię dość problematycznego szczęścia przyszych pokoleń, nie tylko wyrzeka się masła i cukru, ale ogranicza swe wielostronne zainteresowania literackie do czytania powieści o kołchozach i papierniach. Głodem innej literatury tłumaczy się to niesłychane wprost powodzenie, jakiem cieszy się w Rosji „Piotr I”, ostatnia powieść zdolnego pisarza sowieckiego, eks-hrabiego Aleksego Tołstoja. Czytelnik nie spostrzega analogji między reformami Piotra a współczesnością i odpoczywa duchem w epoce, która nie znała kołchozów i wielkiego przemysłu państwowego.

BOHDAN GĘBARSKI

KALWARJA WILEŃSKA

(Dokończenie)

W TAKI DZIEŃ każda chwila jest słodkiem zapamiętaniem, dobrotliwym porywem zbratania ze wszystkiem, co żyje na świecie. Bo dobre jest i piękne i kochania godne wszystko, co żyje. Idzie w niepamięć smutne, ciemne i złe, ustępuje miejsca czarodziejstwu powszechnego miłowania. Cudotwórcą, który to czyni, jest słońce. Jego światło łagodne i miękkie, przesączone niewysłowioną barwnością, pieści i uszczęśliwia oczy w każdem mgnieniu i na każdem miejscu, staje się wszechobecnym świetlistym bytem, nasyconym doskonałą pięknością. A piękno rodzi szczęście. Niema już na świecie rzeczy brzydkich ani obojętnych, niema spraw gorzkich ani ponurych. W tej glorji słonecznej, w tem przepojeniu błogością istnienia jednako pięknieje i wiekowa sosna i kamień przydrożny i kępka rdzawego listowia, a oko i serce do wszystkiego zarówno miłośnie się tuli.

Na usta przychodzą zapomniane słowa pieszczoty i dziękczynienia, słowa pierwotnie nieskładne, dziecinnie śmieszne, ale ważne i potrzebne, bo wyczute i wyszeptane w prostocie kornego zachwycenia. Mówi się do rozkołysanego źdźbła trawy, do aksamitnego cienia leszczynowej altany, do pracowitego dzięcioła, kującego echowo na swym podniebnym warsztacie; mówi się do wszystkich stworów, które dookoła cieszą się ze słońca i z życia, mówi się do nich wszystkich, jak do wiernych przyjaciół, w całkowitem porozumieniu, w serdecznie zespolonej jedności... A przyjaciele potakują ochoczo i domyślnie, jak towarzysze dziecinnych figlów, związani zmową beztroskiej zabawy...

Stokami lesistego wzgórza białe kapliczki to wspinają się, to schodzą niżej, przywarłe do stromych zboczy, niby pielgrzymy, klęczące w cichem bezludziu świerkowej pustelni. Ofiarowują słonecznemu bogu pokorne swe pacierze i hołdy, ku jego miłościwej promienistości zwracają biel swych zgrzebnych koszul, ciemne głowy kłonią pod namioty świerkowych podcieni... A świerki — ministranty z uroczystą powagą asystują przy tem nabożeństwie, dostojnie trzymają straż w świętym obrzędzie i baldachimem zielonego mroku otulają zadumane kaplice...

— — — — — — — — — — — —

Schodzę wdół ku rzece i kościołowi, by minąwszy klasztor wspić się aleją leśnego korytarza na kalwaryjską wyżynę. Znikają sine perspektywy rzecznej doliny, przesłania je sosnowy bór, który zastępuje drogę coraz wyższem i gęstszem spiętrzeniem. Bór rozplata cienisty labirynt ustronnych ścieżek, a jego portyki to zwierają się, to znów rozchodzą, ukazując zalane słońcem polany i białe kaplice, jaśniejące zdala, jak marmurowe zjawiska. Bór pyszni się rozrostem i mocą, przejmuje spokojem i powagą, stoi nieruchomy w dobrotliwej ulewie słonecznych blasków i odprawia misterja kolorowego światłocienia, mieszając na podszyciu szmaragdy i topazy świecących mchów z granatowym aksamitem głębokich cieni. Pobłyskują znowu gdzieniegdzie jasne płomyki pożółkłych brzezin, lecz rychło gasną wśród stłoczonych sosnowych pni i zgęszczonych świerkowych konarów. Zaciszne podcienia kuszą do długich, zamyślonych postojów, miękkie murawy nęcą do ukojnego legnięcia z dłońmi pod głową, by olśnić wzrok nieoczekiwanym szafirowym wylotem lub radosnym ciągiem białych chmur, przepływającym po nim wolno, jak świąteczna procesja Bożego Ciała, ustrojona w śnieżne zwoje powłóczystych sukienek...

Cicho trwa uśmiechnięty, kolorowy jesienny dzień...

W taki dzień łaska wszechmiłości wstępuje do duszy człowieczej i czyni ją dziecięco rozradowaną i anielsko czystą. Pojmuje się, czem jest szczęście istnienia i żyje się głęboko i mocno jego cudownie ziszczoną chwilą. W taki dzień minuty i godziny znaczą jedno, bo czas staje, a każdy jego ułamek jest wiecznością szczęsnego zapamiętania. W taki dzień żyć — znaczy pogrążać się w błękitną, nasyconą blaskami otchłań, w której wszystko jest spokojem, ciszą i miłowaniem...

— — — — — — — — — — — —

Kalwaryjski labirynt leśny ma swoje czarodziejskie nici Arjadny o skuteczności niezawodnej. Ale zamiast wyprowadzać wędrowca, każą mu one błądzić jaknajdłużej na wszystkie strony i wymazują z pamięci wszelką myśl o powrocie. A czynią tak nietylko po to, by oprowadzić pątnika po wszystkich białych cudach — kaplicach, rozsypanych po lesie, jak mistyczne kwiaty, nietylko po to, by skupionego wieść przez bramy męczeństwa od jednej pasji do drugiej w rozpamiętywaniu bolesnych dziejów Drogi Krzyżowej, zaklętych w drzewo i kamień. Wileńska Kalwarja posiada inną jeszcze treść, której tajemnica, niedostępna oczom obcym i zimnym, jest łatwa do odgadnięcia sercem, umiejącem wczuć się w oblicze ziemi i zrozumieć jej wymowę. Kalwarja jest jednym z najpiękniejszych wzorów naszej tradycji i kultury, jednoczącej przybytek podniesienia religijnego z hołdem dla naturalnego bogactwa przyrody, uszlachetnionego przez trafne poczucie estetyczne. Kalwarja istnieje po to jeszcze, by człowiek uwielbił Boga w Jego dziele. Ukazuje ona zdumionemu wędrowcowi tę fantastyczną różnolitość krajobrazu, rozłożonego na wszystkich wysokościach, jak poetyczna bajka z dziecięcych rojeń, oszałamia nagłemi przejściami od spadków do wyniosłości, od wąwozistych jarów trynopolskich do karkołomnego stoku cedronowego łożyska, w którego rozlewie odbijają się zielone drzewne sklepienia. Unosi, strąca, zdumiewa, przytłacza a wreszcie doprowadza przez strome pagórki i wdzięczne polany do tych trzech najpiękniejszych stacyj Męki Pańskiej „u Ratusza", ustawionych jedna ponad drugą na skłonie wąwozu, wśród wężowisk korzeni, w cienistej pomroce starodrzewia, przy krętych zawrotach piaszczystej drogi, która zdaje się wzywać i wieść przed oblicze Boga, utajonego w leśnej świątyni. A tam ukorzonego — oddaje Bogu i naturze. Tam ciemne świerkowe kiście zwieszają się ponad drogą kształtem kirowych zasłon, a korony sosen sklepią się w wyniosłe kościelne stropy. Tam zabłąkane promienne strzały słońca ma-

lują biel ścian ruchomą siatką drżącego polśniewania, a gdy się skupią na czole kaplicy, ta staje w złocistej aureoli i jaśnieje obliczem nieziemskiego piękna. Tam powaga i majestat świętego uroczyska idą prosto w duszę i każą upadać twarzą przed ołtarzem, uczynionym Bogu z samej przyrody... Kto chce doznać łaski modlitwy, niech przyjdzie w to miejsce, gdzie wszystko, co żyje, odmawia śpiewne litanje, odprawia chwalby nieustającego nabożeństwa ziemi i niebios: i kaplice, spiętrzone jasnemi ścianami, i las sędziwy, czarnym orszakiem zalegający przydroże, i słoneczne plamy, igrające na pręgowanych garbach drogi, i te szmery, te powiewy, te światła, te barwy, co się składają na jeden hymn radosnego uwielbienia, na jedną pieśń niewysłowionej harmonji...

— — — — — — — — — — — —

Ostatni akord hymnu — to kościół kalwaryjski. Od kaplicznego lasu prowadzi do niego aleja starych drzew, by w pewnej chwili rozstąpić się i postawić idącego w obliczności niezrównanego zjawiska: w obecności świątyni, wzniesionej jakby w górnej ekstazie, świątyni, wywyższającej się dwiema jasnemi wieżycami i podobnej do srebrzystej wizji w obłokach, świątyni podniebnej, do której, niby biblijna Jakóbowa drabina, aniołów klęczących pełna, wiodą od ziemi wysokie, wysokie schody, ginące w otwartych podwojach wnętrza.

Uderza, zdumiewa, porywa mistrzowskie stopniowanie efektów tej architektonicznej symfonji. Rozpoczyna się ona od biednych drewnianych krzyżów i bramek, od pojedyńczych kapliczek, wtulonych w serce boru i opanowanych przez jego potęgę, rośnie nagromadzeniem coraz ozdobniejszych stacyj i bram, i wybucha wreszcie triumfem wspaniałej świątyni, zwycięsko wynoszącej się ponad ujarzmioną przyrodą, nad zmalałemi drzewami i nad spłaszczonym krajobrazem dookolnym. Tam, w świętym gaju kalwaryjskim przyroda zdobiła drogę krzyżową wszystkiemi swemi powabami, rozrzutnie darzyła swoje królewskie skarby, by utworzyć kaplicom szatę piękną i dostojną. Tutaj przyroda nie próbuje nawet współzawodniczyć z dziełem wiary ludzkiej i bezsilnie legła u stóp kościoła ostatnią klonową aleją, jak dziecko przed wielkim ołtarzem, rozpostarte w prochu ziemi. Tu już niema współrzędności — ten kościół przerasta wszystko dokoła i huczną hosannę trąb archanielskich śpiewa światu i niebiosom...

Kto pragnie ukorzyć się przed bożym domem i doznać świętego dreszczu zbliżenia do Bóstwa, niech tutaj ulęknie, przed tym kościołem, w tem jedynem może na kraj cały miejscu, unoszącem oczy i duszę człowieka omal że nie w same niebiosa.

A potem — niech odejdzie niżej, niech spocznie na chwilę wśród opadłych liści alei, niech długo popatrzy przed siebie i zaduma się nietylko nad żywą wiarą tych, co taką świątynię umieli wznieść, ale i nad ich mądrą i czującą duszą, wypiastowaną przez stulecia szlachetnej kultury, nad tem doskonałem poczuciem monumentalnego piękna, które im podszepnęło, by zbudowali przybytek modlitwy w takiem miejscu, skąd idzie ona prosto do nieba...

— — — — — — — — — — — —

Wieczorem, w powrotnej drodze do Jerozolimki, zatrzymałem się przy pagórku, gdzie pomiędzy drzewami, promienisto przybrany, stał krzyż przydrożny. Krwawą czerwienią malowały go ostatnie poblaski zachodu i w ich gasnącem świetle u podnóża wyczytałem — nie modlitwę, nie datę lub wspomnienie, tylko te krótkie słowa:

„KOCHAJ WSZYSTKO CO ŻYJE".

Słońce zaszło. Łuna dopalała się na widnokręgu i roztapiała się w seledynowych smugach zachodniego nieba. Zmierzch schodził na ziemię i gęstniał granatowemi cieniami niedalekiej nocy. Czarnemi zarysami dłużyły się dwa drzewa z krzyżem pośrodku, a powiew nocny w brzozowych gałęziach zdawał się szeptać echem rozpamiętywań:

„KOCHAJ WSZYSTKO CO ŻYJE".

I to była ostatnia nuta w pieśni owego dnia...

JAN BUŁHAK

POWRÓT DO PARADOKSU

GDYBY Linde dziś, a nie zgórą sto lat temu, układał swój „Słownik języka polskiego", nie pominąłby zapewne milczeniem słowa „paradoks". Redakcja encyklopedji Orgelbranda nie traktowałaby — w kilkadziesiąt lat później — paradoksu ze wzruszeniem ramion.

Ustosunkowanie się do tego pojęcia znacznie się od owych czasów zmieniło, a słowniki filozoficzne Baldwina z r. 1902 i Lalande'a z r. 1926 znajdują dla paradoksu definicje bardziej wyrozumiałe. Dziś spotykamy paradoks także ze wzruszeniem, ale już nie ramion, tylko raczej z radością z objawienia złożonej prawdy, trudnej do uchwycenia. Uczuciowy stosunek do paradoksu uległ radykalnemu odwróceniu — słowo samo straciło zabarwienie ujemne, zyskało zaś dodatnie. Paradoks stał się nietylko uznanym środkiem artystycznym (Chesterton), ale także zyskał sobie prawo obywatelstwa w rozumowaniach. Jest modny. I gdyby dziś ktoś starał się zbudować jego definicję, nie powiedziałby zapewne z lekceważeniem, że jest to nonsens, zestawienie twierdzeń przeciwnych, ale raczej powiedziałby z uznaniem, że jest to błyskawiczne objawienie całej prawdy, scalenie pozornych przeciwieństw. W tym sensie paradoks jest pewną postacią syntezy. W tym też sensie używam tego słowa w tym artykule.

Dzieje tego słowa, odwrócenie stosunku doń, wyznaczają tę przemianę światopoglądu, jaka się dziś powszechnie dokonywa, i, co się często stwierdza,— jest znamieniem nadejścia nowej epoki.

Możnaby zgoła powiedzieć, że istotą tej przemiany jest powrót do paradoksu, do paradoksalnego spojrzenia na świat, w tem współczesnem znaczeniu paradoksu — jako syntezy. Tym właśnie powrotem do paradoksu możnaby bodaj zastąpić wszystkie te powroty do średniowiecza i do uznania władz irracjonalnych psychiki, które się namnożyły

w dyskusji nad współczesną przemianą światopoglądu, a które nic ostatecznie nie rozwiązując, boć przecie średniowiecze to nie jest pojęcie proste, nadto jeszcze przez nacisk na nawiązywanie do przeszłości, zasłaniają perspektywę na te kroki naprzód, które nowa epoka ma przemierzyć. Zredukowanie owych powrotów do tego jednego zasadniczego — powrotu do syntetycznego, nie analitycznego stosunku do rzeczywistości, pozwala na wyrazistsze przeciwstawienie średniowiecza oraz tej epoki, która się właśnie poczyna — czasom t. zw. nowożytnym.

J. Huizinga, w książce swej, która w tłumaczeniu francuskiem nosi tytuł *„Le Declin du Moyen - age"* uwydatnia paradoksalność nawet w zewnętrzym kształcie średniowiecznego świata. Charakteryzuje on średniowiecze, jako świat kontrastów — w którym, z pośród dachów małego miasteczka wystrzelają nagle wspaniałe wieże przepysznie zdobnej katedry, wśród ciszy i małoważności miasteczkowego życia rozlega się dostojny głos dzwonów, głos domu Bożego. W tym świecie niema jednostajnej ciemności — nocne cienie przerywa nagłe świato latarni, ciszę uśpionych uliczek rozrywa nagły krzyk i gwałtowne kroki.

Innemi słowy jest to paradoksalna ciemność— tem ciemniejsza, że zaprzeczona ostrym błyskiem latarni, paradoksalna cisza — tem cichsza, że nagle rozdarta hałasem.

Obraz to skrótowy, ale na jego tle wyraźnej występują głębsze nurty tej epoki. Występują właśnie w swej paradoksalności. Łatwiej jest dostrzedz, że paradoks tkwił u podstawy światopoglądu średniowiecza. Tkwił on w pojęciu człowieka złożonego paradoksalnie z duszy i z ciała, człowieka zarazem nędznego, bo doczesnego i zarazem wielkiego bo godnego nieba; w pojęciu przyrody nikczemnej bo materjalnej, ale nie potępionej, bo uformowanej przez Boga, w wierze w Boga - człowieka i Jego codzienną, mistyczną ofiarę. Co więcej średniowiecze w całej swej twórczości cywilizacyjnej miało nastawienie syntetyczne, dążące do scalenia wszelkiego życia w jeden organizm oparty na wspólnym pionie, prowadzącym z ziemi do nieba.

Możnaby też powiedzieć, że, odwrotnie, nowożytność rołożyła średniowieczny, paradoksalny kształt świata. Nie zna ona owej ciszy przez krzyk i rozdartej blaskiem ciemności — zna tylko jednostajny zgiełk wielkiego miasta i martwą ciszę hali farycznej po ustaniu maszyn. Zgiełk i cisza są tu doprowadzone do *maximum* i rozdzielone. Paradoks został rozdarty na dwoje, a obie jego połowy doprowadzono do krańca.

Jeżeli prawdą jest, że czasy nowożytne szły drogą stopniowego rozkładu cywilizacji średniowiecza, to rozkładu tego dokonywały właśnie przez rozdarcie paradoksu. Światopogląd tej epoki nie znał paradoksu — był raczej analityczny. Pojęcie człowieka z duszy i z ciała zarazem było dlań nie do przyjęcia — rozdarł je i znowu obie połowy doprowadzono do krańców — materjalizmu i suchego, purytańskiego idealizmu.Powszechny przed laty kilkudziesięciu odwrót od katolicyzmu dokonywał się właśnie poprzez rozdarcie paradoksów katolicyzmu, niemożliwych do przyjęcia przez „Rozum". A był to objaw dla mijającej epoki charakterystyczny. To rozdarcie paradoksu przez świat nowożytny możnaby wskazać w każdej bodaj dziedzinie.

W dziedzinie sztuki zaznacza się ono wyraźnie. Średniowiecze włączało dzieła sztuki do rzędu wszelkich dzieł ręki ludzkiej, rzeczy. Nie uchybiało to godności sztuki, bo wszelkie dzieło rąk ludzkich, jako wyraz życia, pojmowanego jako pielgrzymka do Boga, miało pewną duchową wartość — było dobrym uczynkiem lub grzechem. Czasy nowożytne dokonały podziału na rzeczy użytkowe i rzeczy piękne i stworzyły, w ostatnim swym etapie, mnóstwo niezwykle brzydkich rzeczy użytkowych. I oto nowy światopogląd zaznacza się w dziedzinie sztuki łączeniem rozdartego paradoksu — uznaniem t. zw. zdobnictwa i przemysłu artystycznego za sztuki równouprawnione z innemi. Inny jaskrawy obraz to zestawienie katedry romańskiej, którą to architekturę niemiecki historyk sztuki, Ryszard Hamann, określa jako paradoksalną, z jakąś budowlą corbusierowską, która, choć tak bardzo „nowoczesna" jest przecież jednak ostatnią konsekwencją architektoniczną swiatopoglądu mijającej epoki.

Budowla corbusierowska przedstawia się w tem zestawieniu jako skrajny wynik analizy — zaś katedra romańska jako wynik dążenia do syntezy, tak znowu skrajnego, że aż paradoksalnego. Architektura i malarstwo średniowieczne najwymowniej bodaj świadczą o tem, że średniowiecze miało paradoksalny obraz świata i w tej dziedzinie słowo „paradoks" narzuca się wprost myśli, jako najodpowiedniejsze.

Jeśli objawami nowego światopoglądu są — powrót do katolicyzmu i powszechne budzenie się idej narodowych, to ich znaczenie w dokonywającej się przemianie i ich związek ze średniowieczem najjaśniej bodaj tłumaczy powrót do paradoksu, do tego punktu widzenia, z którego świat nie przedstawia się oczom jako coś jednorodnego, prostego, dającego się matematycznie zanalizować, ale jako rzeczywistość złożona, której przeciwieństwa nie dadzą się pogodzić samym tylko rozumem, ale, że na to potrzeba także intuicji, czy nawet objawienia, a nadto przyjęcia pewnego pionu, wokół którego obraz świata ma się skrystalizować. Najbardziej lapidarną formą wyrazu jest dla takiego stanowiska właśnie paradoks.

Wspomniany już Ryszard Hamann mówi, że „najgłębszym i najsilniej świadczącym o przewrocie społecznym w świecie antycznym symbolem odwrócenia wszystkich wartości" było w chwili nadejścia chrześcijaństwa Ukrzyżowanie. Symbol ten bowiem oznacza, że „droga wzwyż ku Bogu prowadzi przez najgłębsze poniżenie, że nie triumf, lecz cierpienie nadaje wartość człowiekowi i że dawny, gniewny, mściwy Bóg, którego można było przebłagać tylko ofiarami, obecnie okazuje ludziom swą najwyższą łaskę i stawszy się w Swym Synu człowiekiem, składa sobie Siebie samego w ofierze".

Słowa te pozwalają zrozumieć, że istotnie średniowiecze wprowadziło świat na drogę paradoksu. Pozwalają także zrozumieć lepiej chwilę obecną. Czyż bowiem dziś nie dzieje się coś podobnego, oczywiście w przeniesieniu w aktualne warunki? Te zaś aktualne warunki — to przedewszystkiem zwrócenie uwagi na sprawy narodowe. Paradoksy Boga-człowieka i jednostkowych stosunków ludzkich, które były rewolucją w czasach starożytnych, dziś, wykształcone i opracowane przez średniowiecze, są czcigodnym spadkiem po tej epoce. Natomiast otwarły się widoki na

nową dziedzinę — na sprawy narodowe. I tutaj nowy pogląd na świat wydobywa paradoksy nowe, dokonywa scalenia rozbitych. Tak bowiem, jak paradoks zstąpienia Boga na świat i istnienia w człowieku pierwiastków, które przetrwają poza znikomość doczesności, jest kluczem do szczęśliwości w Bogu, tak idea narodowa jest kluczem do pomnożenia szczęśliwości doczesnej, bo i w znikomości doczesnej odkrywa pierwiastki wyższego porządku, pierwiastki historyczno-kulturalne, bo pomnaża krótkotrwałość ziemskiego bytowania o całe wieki przeszłej i przyszłej historji. Idea ta scala ten paradoks, który czasy nowożytne rozbiły, a jedną z jego połów doprowadziły do krańca w postaci idei „praw człowieka i obywatela", haseł wolności i równości.

Zestawienie tych haseł i idei narodowej rysuje się znowu jako zestawienie dwu punktów widzenia — analitycznego i syntetycznego. U sedna bowiem idei narodowej tkwi paradoks pogodzenia wolności i godności człowieka z obowiązkiem służby i ze znikomością i małoważnością jednostki wobec tego bytu wyższego, jakim jest naród. Nie jest to zresztą jedyny paradoks tej idei.

W tym sensie i na tle powrotu do paradoksu, oba objawy nowego światopoglądu — powrót do katolicyzmu i budzenie się ruchów narodowych, występują jako zjawiska jednorodne, wynikające z tej samej, gruntownej przemiany w sposobie patrzenia na świat. Możnaby powiedzieć, że katolicyzm i idea narodowa to są poglądy na inne dziedziny — religijną i świecką, ale widziane z tego samego punktu widzenia.

Idea narodowa występuje tu nie jako ciasna doktryna polityczna. O świadomości tego świadczy to, że ciasną nazwę „nacjonalizm" zastąpiła dziś szersza — „idea narodowa". Coraz częściej zaś używana zamiast tej ostatniej inna jeszcze — „światopogląd narodowy" świadczy o tem, że ruchy narodowe, przynajmniej zaś polski, zdają sobie sprawę z tego, iż obejmują nietylko sprawy polityczne, ale szeroki zakres spraw życia zbiorowego i jednostkowego, indywidualnej i zbiorowej twórczości cywilizacyjnej.

Co więcej, jeśli uznamy za prawdę, że obecna przemiana światopoglądu jest nie powrotem do średniowiecza, ale do tej drogi, po której ono kroczyło, że nowa epoka ma być nie kopją średniowiecza, ale jego kontynuacją, to wydaje się, że sprawy narodowe są właśnie etapem, który ta nowa epoka ma przebyć, że ma ona w rzeczach świeckich stworzyć naukę o narodzie, tak jak średniowiecze stworzyło w tej dziedzinie naukę o rodzinie. Droga naprzód tędy właśnie wydaje się prowadzić, a powrót do średniowiecza ograniczałby się w tym sensie do powrotu do jego paradoksalnego stosunku do świata i do przyjęcia tego dorobku, który średniowiecze już w swej cywilizacji i swej filozofji sformułowało.

HENRYK EYSYMONTT

O POZIOM POLSKIEJ SZTUKI KOŚCIELNEJ

GDY przed paru laty przygotowywano Wystawę Sztuki Kościelnej w „Zachęcie" i żywo dyskutowano nad jej urządzeniem — podczas jednej z dyskusyj padło charakterystyczne zdanie. Chodziło o to, jaką epokę malarstwa religijnego należałoby pokazać publiczności. Proponowano wiek 17 i 18. Ktoś z obecnych zwrócił uwagę, że 17 i 18 w. był okresem upadku polskiej sztuki kościelnej i twierdził, że aby dać poznać jej rozkwit, należałoby sięgnąć po twórczość 13, 14 i 15 wieku.

Na to usłyszał odpowiedź: „Pan zapomina, że robimy wystawę dla publiczności. Sztuka średniowieczna jest oczywiście niezmiernie ciekawa, interesuje ona dziś jednak znawców i specjalistów. Publiczność żąda czego innego". Zdanie to widać przeważyło, skoro w salach „Zachęty" zawisły, niezłe zresztą, ale już manjeryczne i pozbawione głębszego odczucia, obrazy osiemnastowieczne i dziewiętnastowieczne.

Po kilku latach Warszawa ujrzała drugą wystawę sztuki kościelnej, tym razem w IPS-ie. Tu zaryzykowano średniowiecze. Kto widział obie te wystawy, przyzna chyba, że ta druga była ciekawsza. Wykazała ona niezbicie, że mieliśmy własną, nie wolną wprawdzie od obcych wpływów, ale odrębną sztukę kościelną i że pochwalić się możemy dziełami o dużej wartości artystycznej.

Publiczność zwiedzała wystawę tę z zainteresowaniem, a nawet z zachwytem. Okazało się, że i ona zdolna jest odczuć prawdziwe piękno i zainteresować się prawdziwą sztuką.

Przytoczyłem tu powyższą dyskusję dlatego, że zdanie owego interlokutora nie jest odosobnione. Przywykło się dzielić sztukę na dwie kategorje — jedną dla znawców, drugą dla publiczności. Dotyczy to nie tylko sztuki kościelnej. Są portreciści, którzy malują „dla publiczności", są malarze, którzy dobierają motywy i tematy „ulubione", w operze grają operetki, literaci silą się na wulgaryzm, poeci „epatują" trywialnością i brakiem sensu — publiczność zaś bierze to za dobrą monetę. Właściwie publiczność najmniej tu jest winna. Rozumuje poprostu. To i to zostało napisanem przez takiego to autora, taki to obraz wisi w „Zachęcie" czy w IPS-ie — taką to sztukę gra ten a ten teatr. Ktoś to wybierał i oceniał. Ten ktoś zna się zapewne na tem i wie co robi, zatem rzecz jest dobra i należy się nią zachwycać.

Jeśli chodzi o sztukę kościelną, sprawa przedstawia się jeszcze bardziej skomplikowanie. W grę wchodzi obawa naruszenia tradycji i przepisów liturgicznych. Tu bardziej niż gdziekolwiek firma nabiera wagi. Trudno się temu zresztą dziwić, bo zagadnienie jest poważne. Oto ktoś nabożny chce ofiarować kościołowi, dajmy na to, figurę świętego. Sam nie zna się ani na sztuce, ani tembardziej na liturgji. Gdzież się ma udać, by zrobić dobry wybór? Próbować zamówień na własną rękę — to wydaje mu się ryzykowne. Idzie więc tam, gdzie jest pewny, że nie sprzedadzą mu nic, coby się sprzeciwiało zwyczajom i przepisom kościelnym. Idzie do składu dewocjonaljów. Wystarczy wymienić o co chodzi — a rzecz znajdzie się

gotowa. Że rzecz ta jest brzydka, że brak w niej ducha, że jest to seryjna, pozbawiona wartości artystycznej figura czy obraz, o to już ofiarodawca mniej dba i łatwo się z tego rozgrzesza. Przecież kupuje to w instytucji, która posiada *approbatur* władz kościelnych. To też kościoły nasze szybko zapełniają się przedmiotami bez wartości, a których już potem trudno się pozbyć. Gdyby ktoś wpadł na pomysł urządzenia wystawy współczesnej sztuki kościelnej, ujrzelibyśmy, zdaje się, bardzo wyraźnie brak wszelkiego w sztuce tej wyrazu. Byłby to ciekawy bardzo i pouczający eksperyment i kto wie, czy dla uzdrowienia naszych zrutynizowanych nawyków nie warto by go kiedyś w czyn wcielić. Wyobraźmy sobie eksponaty, pochodzące z naszych dzisiejszych składów dewocjonaljów. W każdym razie trudnoby się tam doszukać polskiego charakteru, polskiego odczucia religijnego. Nic w tem dziwnego, skoro przeważna część t.zw „dewocjonaljów" jest reprodukcją obcych wzorów. A tymczasem budzić się już zaczyna tęsknota do własnego wyrazu w sztuce kościelnej.

Wraz z rosnącem poczuciem wartości religji, wraz z nawrotem do wiary wśród szerokich mas narodu — powstaje konieczność zreformowania naszego stosunku do sztuki kościelnej. Minęły czasy, gdy ozdabianie kościołów pozostawiano dewotkom. Dziś potrzeba znalezienia należytego uzewnętrznienia uczuć religijnych staje się coraz bardziej nagląca. Wyrazem plastycznym tego, co się w duszach ludzkich dzieje, jest sztuka. To też nadchodzi czas, by zarówno artyści, jak społeczeństwo, jak wreszcie kler, zainteresowali się tem zagadnieniem. Dotychczas artyści byli bierni. Temat religijny nie był w modzie, bo nie odpowiadał nastawieniu duchowemu.

Żyjąc w atmosferze indyferentyzmu czy zgoła negacji wiary, nie mając oparcia w społeczeństwie artyści bądź nie poruszali tematów religijnych, bądź tworzyli dla tej części społeczeństwa, która nie straciła wiary, ale która też nie posiadała wewnętrznej kultury artystycznej. Stąd bądź sztuczność i maniera, bądź tandetna słodyczkowatość dostosowana do gestu dewotek. Kościół nie miał wyboru — brał to, co mógł znaleść, bo trzeba było pomimo wszystko ozdabiać świątynie. Ale powoli sam stracił poczucie artystyczne, przyzwyczaił się do miernot, przestał rozumieć wielką sztukę.

Każda zmiana utartej koncepcji, odchylenie od szablonów przerażało i było, a może i jest jeszcze, odrzucane jak „futurystyczne". Niejednokrotnie stanowisko takie było aż nadto uzasadnione. Często jednak wynikało z braku wyczucia artystycznego i znajomości sztuki. Nie umiejąc ocenić wartości czegoś nowego, wolano dla pewności pozostać przy starem.

Astyści współcześni coraz częściej poruszają tematy religijne. Mamy już spory dorobek lat ostatnich w tej dziedzinie. Pojawiają się tu i owdzie pomysły zorganizowania akcji, zmierzającej do odrodzenia polskiej sztuki kościelnej.

Na terenie Warszawy powstaje nowe stowarzyszenie, które nosić będzie nazwę *„Ars Christiana"*. Działać ono będzie w porozumieniu i współpracy z władzami kościelnemi. Do stowarzyszenia tego wejda artyści reprezentujący rozmaite działy sztuki, tak by sprostać mogli wszelkim zamówieniom, i być może, powoli, niektóre przynajmniej braki w dziedzinie naszej sztuki kościelnej uda się usunąć. Na Boże Narodzenie członkowie *„Ars Christiana"* zrobili Żłobek Boży w Kościele Zbawiciela.

Nadspodziewanie, ten drobny i mało znaczący fakt, będący jednak pierwszą próbą podniesienia poziomu zdobnictwa kościelnego, wywarł duży oddźwięk w społeczeństwie. Znak to, że pomysł stworzenia *„Ars Christiana"* był dobry i że potrzeba pracy nad odrodzeniem sztuki kościelnej istnieje w świadomości ogółu.

WŁODZIMIERZ BARTOSZEWICZ

TRZEJ KRÓLOWIE

— Święci Trzej Królowie, ze Wschodu Magowie
Jakaż was przywiodła gwiazda,
Żeście tu przybyli, gdzie w żłobeczku kwili
Ptak z Dawidowego gniazda?

Kasprze i Melchjorze, nie stójcie na dworze,
Boście mrozu nie zwyczajni,
Razem z Baltazarem, każdy ze swym darem,
Wejdźcie tu do naszej stajni.

Kasprze, twoje złoto przyjmiemy z ochotą,
Bo podatki płacić pora,
W stajni cuchnie bydło: przyda się kadzidło,
Prezent od króla Melchjora!

Cóż to, Baltazarze, mirrę niesiesz w darze?
Lepiejbyś nam przyniósł wina...
— O, Matko-Dziewico, tą wonną żywicą
Namaścisz do grobu Syna!

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Zofja Nałkowska i jej ostatnia powieść. — Dramat czy epos. — Społeczeństwo i jednostka. — Parter i suterena. — Sentymentalny humanitaryzm. — Pod uciskiem kosmosu.

LAUREATKA nagrody państwowej, Zofja Nałkowska, zdobyła to odznaczenie „za całą swoją twórczość pisarską", niewątpliwie jednak z terminem r. 1935 związała nagrodę powieść jej „Granica", w tym roku właśnie wydana i z uznaniem w świecie literackim przyjęta. Autorka, jedyna reprezentantka kobiet w Akademji Literatury, słynie oddawna jako powieściopisarka; ma już za sobą około 20 tomów powieści i nowel. W ostatnich latach wystawiła na scenie dwa dzieła dramatyczne niepospolitej wartości.

Z powieści „Granica" możnaby również wykroić dramat sceniczny, gdyby z pośród masy materjału, jaki autorka do tego studjum obyczajowo-społecznego zebrała, wydobyć dzieje głównych postaci, stanowiące kręgosłup utworu. Są to dzieje w swojej logice zdarzeń bardzo pospolite, ale z tego autorka zdawała sobie sprawę i tu właśnie wykazała niepospolity zmysł artystyczny, że zagubiła dyskretnie wątek tych dziejów w obrazie ogólnym, nie wysuwając go na plan pierwszy. A jednak nie co innego, tylko ten pospolity romans jest czynnikiem, organizującym i czyniącym z tego studjum rzetelne dzieło sztuki. Owa dyskrecja, umiejętnie zastosowana, dająca pole działaniu suggestji, robi przyjemność estetyczną czytelnikowi, odnosi on bowiem wrażenie, jakoby samodzielnie odnalazł rysunek w spiętrzonej górze opowiedzianych zdarzeń.

Kronika policyjna w dzienniku opowiada o takich dramatach krótko: Dziewczyna z ludu (nieprawe dziecko kucharki) wpada pod rękę studentowi (synowi rządcy). Spędza płód, dostaje rozstroju nerwowego, a kiedy uwodziciel jest już dygnitarzem, wpada do jego gabinetu i zalewa mu oczy witryolejem.

Dramatyczne to zdarzenie jest dla autorki pretekstem do popisu obserwatorskiego, niemal przyrodoznawczego, ukazującego, jak się to plecie na tym biologicznym świecie, który nazywamy społeczeństwem, towarzystwem, areną zapasów heraklesowych, lotniskiem prometeistów, cieplarnią serc, kwietnikiem ideałów... Przyszedł jednak czas ścisłych badań przyrodniczych, naturalistycznych pogłębień wiedzy socjalnej i świat ukazał się w ostrem świetle, bardzo dogodnem dla zdjęć powieściowych.

Trudno zaprzeczyć, że wiedza o człowieku i technika powieściowa bardzo się udoskonaliły przez swoje uproszczenie kąta widzenia, przezześrodkowanie uwagi na stronę biologiczną życia, przez zredukowanie człowieka do stanu żyjątka. Ale oddając ten hołd nowoczesnej powieści, mamy jednocześnie prawo stwierdzić, że dramat w niej ustąpić musiał pierwszeństwa opisowi przyrodniczemu, epos — reportażowi.

— — — — — — — — — — — — — —

Nałkowska, specjalizując dramat na użytek sceny, powieści postanowiła nadać charakter epiczności. Zdaje się, że ideą artystyczną „Granicy" był zamiar ukazania w obrazach, że życie ludzkie jest igraszką całego układu społecznego, że więc na dramat jednostek składa się cały odmęt środowiska, pozornie tylko uporządkowanego. Ukazać ten ruch, odbierający jednostce odpowiedzialność i skazujący ją deterministycznie na los — to zadanie epika; wskazać zaś, że jednak istnieje „granica" wytrzymałości jednostki w starciu z tym losem — to znowu dramaturgja.

Czy koniecznie w eposie ma być dużo światła i czy koniecznie ma panować w nim pierwiastek idealistyczny, więc bohaterski, jak w „Panu Tadeuszu"? Nałkowskiej epos robiony jest na ciemno, zgodnie z pesymistycznym poglądem na świat materjalizmu.

Cechą główną prześwietleń tego typu powieści jest to, że nasilenie ich zwiększa się ku dołom bytu. Im mniejszy człowiek, im bliższe życiu zwierzęcemu zjawisko — tem staranniej pracuje pióro autora. Poziom, z którego p. Nałkowska na świat patrzy, to parter domu mieszczańskiego, ale nie byłaby dzieckiem swego czasu, gdyby się nie wykazała ze znajomości przedewszystkiem suteren. Romans panny „z towarzystwa" ma swoją kulminację na kanapce w rogu saloniku na parterze, ale symbolicznego znaczenia (społecznego) nabiera przez to, że pod podłogą w tem miejscu salonika znajduje się izdebka suterenowa Gołąbskiej, a w tej izdebce bez powietrza i światła mieści się tylko jedno łóżko, na którem obok sparaliżowanej matki sypia cała rodzina (w tem oślepłe dziecko).

Na tem właśnie polega perwersja stosunków społecznych, że pod salonami istnieją sutereny, na tem też polega kokieterja artystyczna powieści (niepozbawiona perwersji), że uciechom życia na parterze, dzięki istnieniu sutereny, można nadać smak melancholji.

Świat nowoczesnej powieści — bez wylotu ideotwórczego — przyciśnięty jest ku ziemi, pełznie *par terre et sous terrain*. Ten świat dolny jest świetny u Nałkowskiej. Niema jednak w tem dolnem wejrzeniu owego dreszczu indygnacji, którą Żeromski „epatował burżujów", dreszczyku rewolucji socjalnej; tutaj mamy do czynienia raczej z estetyką humanitaryzmu, z nieprzebraną skarbnicą światłocienia: cieniem jest życie, światłością — dobre serce autora.

Autorka zrobiła wszystko, aby romansowi sutereny z parterem nadać zakrój eposu społecznego. Wciągnęła w grę wszystkie sfery społeczeństwa (oprócz chłopa wiejskiego i żyda). Mamy więc znakomicie przedstawiony proletarjat: jest paru robotników, nędzarze, służące, kucharki, stróż domu i jego żona, ogrodnik, sklepowa, a wyżej: właścicielka domu, rządca majątku, dwie hrabiny, ksiądz, starosta, prezydent miasta, student, filozof. Im wyżej w górę społeczeństwa, tem słabsze kontury, tem słabiej życie motywowane, coraz mniej widać rzeczywistości. Im niżej, tem widok bogatszy, bardziej opanowany metodą przyrodniczą, a gdy wreszcie przychodzi do obrazu zwierząt (pies w podwórzu, pająki, akwarja) — to już arcydzieła obserwacji.

Widocznie prostsze są organizacje kobiet, niż mężczyzn, bo te są w powieści na planie pierwszym. Mężczyźni Nałkowskiej to najczęściej ogólniki z wyobrażeń; kobiety są żywe indywidualnie. Za samą galerję kobiet w „Granicy" dałbym p. Nałkowskiej złoty medal. Proszę zestawić takie portrety, jak Elżbieta, jej ciotka Cecylja Kolichow-

ska, Justyna Bogutówna, jej matka Bogutowa, Żancia Ziemniewiczowa, Łucja Postraska, Jasia Gołąbska, Władziowa, dwie hrabiny Tczewskie (każda inna), matka Elżbiety i jeszcze kilka drobnych — to są wszystko kreacje oryginalne.

— — — — — — — — — — — — —

Oczywiście świat, widziany tak, przydolnie i biologicznie — jest myślany kategorjami filozofji materjalistycznej. U zenitu myśli w tej powieści znajduje się Karol Wąbrowski. Pogląd jego na świat jest taki:

„Słabością człowieka są wymiary. Przywalony jest masą świata, masa mu imponuje. Lubi wszystko, co jest ograniczone, zamknięte, jasne i ciepłe, zabezpieczone od niepokojącej melancholji odległości gwiezdnych i stosunków międzyplanetarnych. Chce zapomnieć o tej kolosalnej masie ciemności, mrozu i milczenia, w której miotają się nadaremnie niesłychanych rozmiarów bryły ognia, tracące na przesyłaniu sobie swych promieni straszliwe ilości lat ziemskich, — zwłaszcza, że cel tych działań jest niejasny, a pożytek wątpliwy... Chce je przejednać i ugłaskać, korzy się przed ich przekraczającą jego pojęcie „harmonją". Ale przecież osaczony jest zewsząd, bo nad nim, pod nim, wewnątrz i naokoło szaleje ruchoma materja, otacza go i przenika na wylot wicher chwiejby molekularnej, zaprzeczający wszelkiemu dotychczasowemu sensowi świata".

Wyznanie to tłumaczy, skąd się bierze skrajny pesymizm, wiejący z powieści i wogóle beznadziejność i „chwiejbę" tego gatunku twórczości naszej doby, trochę zadługo się ciągnącej. Z pesymizmu społecznego wpakowaliśmy się w kosmiczny, wobec którego głupstwem wydawać się musi każdy wysiłek prometejski. Możemy się tylko kokietować pięknodusznością. Materjalizm wzgardził największym „wynalazkiem" ludzkości — autonomicznością świata duchowego, który zapewnił człowiekowi wiele spokoju przez wyemancypowanie go z kosmosu i przez optymizm dobrej woli, dającej wolność.

Ludzie Nałkowskiej żyją, jak kraby w akwarjum, łażące przez siebie, albo jak psy na uwięzi; żyją popędami fizycznemi w wygodnym determinizmie, a o tem, gdzie jest ich brzeg, gdzie „granica", dowiadują się z faktów, gdy im życie brutalnie zada cios — witryolejem.

Jeśli w tym tytule powieści mieści się trochę refleksji filozoficznej ku odwrotowi, to byłaby to dobra zapowiedź dla dalszej twórczości tej utalentowanej autorki.

ZYGMUNT WASILEWSKI

OD WYDAWNICTWA

Składając podziękowanie przyjaciołom „MYŚLI NARODOWEJ", którzy już przyczynili się do rozszerzenia koła czytelników, prosimy Ich o dalsze propagowanie wydawnictwa. Zarazem upraszamy odbiorców zalegających o śpieszne wyrównanie należności, a wrazie trudności o porozumienie się z administracją co do warunków opłaty.

Prosimy o nadsyłanie adresów osób, którym należałoby wysłać numery okazowe.

GŁOSY

DOKOŁA „PEWNEGO ŻYCIORYSU" w Słowniku Biograficznym gotowa się była wywiązać polemika, zupełnie przez redakcję „Myśli Narodowej" nie zamierzona. Mianowicie uzupełnienie życiorysu Tobjasza Aszkenazego, zamieszczone w nr. 49 i 50 z r. ub., wywołało odpowiedź prof. Wł. Konopczyńskiego (nr. 53) tak niecierpliwą, jakby komuś (autorowi czy redakcji) zależało na uchybianiu w czemkolwiek samemu Słownikowi, lub jego redaktorowi. Żeby uniknąć tego niewłaściwego w danej sprawie toru, redakcja, jako odpowiedzialna za umieszczenie „uzupełnienia", oświadcza, że kierował nią wzgląd publicystyczny, tradycja bowiem omawianej osobistości jest żywa, a opinja publiczna powinna być dobrze informowana; w stosunku zaś do Słownika kierowaliśmy się dobrą wiarą, że te informacje historji też przydać się mogą. Dalecy byliśmy, zarówno autor, jak i redakcja, od przypisywania winy przeoczeń biografa (widocznie tendencyjnie poinformowanego) redaktorowi całego Słownika, znanemu ze swej dokładności, tak miłującemu prawdę historyczną i o nią walczącemu. Skądżeby powstać mogło komu w głowie żądanie, żeby redaktor znał na pamięć personalja dziesiątków tysięcy opisywanych osobistości?

Autora nadesłanego przyczynku zwolniliśmy z podpisu, ponieważ rzecz udokumentowana sama mówi za siebie. Autor z powodu odpowiedzi prof. Konopczyńskiego wspomina w liście, że czcigodny profesor uznał jego wystąpienie za szkodliwe dla Słownika i stwierdza raz jeszcze:

„Polski Słownik Biograficzny, pomimo błędów, jakieby się w nim znaleźć musiały, jest — jak dotychczas — jednym z najświetniejszych pomników pracy polskiej, jednem z najcenniejszych źródeł historji i pierwszem godnem spłaceniem długu, jakie winniśmy pamięci, żywotom, znojom naszych przeszłych pokoleń, a za dzieło to cała Polska winna jest jego Redakcji głęboką wdzięczność."

ECHA KIELECKIE. „W piątek Reduta grała „Cień" w tym nowym gmachu pod cmentarzem. Pojęcia nie macie co tam jest za przepych, komfort i co kto chce. Kapie od marmurów i alabastrów, sala teatralna na 800 osób, sala balowa cudna, pokoje umeblowane każdy w innym stylu, dywany, firanki, bufet, sala bridżowa i t. d. Kosztowało to ponoć 7 miljonów, natomiast w szpitalu kieleckim chorzy leżą na słomie, na korytarzach i całe urządzenie urąga hygienie i prymitywnym wymaganiom lecznictwa"...

Oto autentyczny list z prowincji, znakomicie ilustrujący „radosną twórczość" i rozmach inwestycyjny „nowych panów". Ludziom w głowie się pomieścić nie może, jak to się dzieje, że pieniądze publiczne idą na takie faramuszki, gdy jest deficyt i tysiąc potrzeb pilniejszych a niezałatwionych. Ten kontrast drażni i bije w oczy. Bije też w oczy oczywisty nonsens tych wydatków; w mieście gdzie na przedstawienie nie przyjdzie nigdy 800 osób, buduje się tak dużą widownię, obdarzając ją jednak tylko małą kameralną scenką w sam

raz dla akademij i okolicznościowych przemówień— gmach jest olbrzymi, a brak w nim telefonów wewnętrznych, zbytkownie urządzony — a brzydki zzewnątrz — i tak wszystko.

Drażni w najwyższym stopniu rozmiłowanie się nagłe w zbytku „wyskoczków", dla których powinny wystarczyć zielone ściany i zwykła podłoga. Wersale, czy Łazienki mogli stawiać kiedyś królowie, ale gdy coś podobnego chcą robić Kleony, to jest to tylko przykre i śmieszne. Przytem gdy budowano Wersal — opiekę społeczną sprawował Kościół i państwo nie miało obowiązku budowania szpitali, nie powstawało więc to rażące zestawienie istotnych potrzeb i wydawanych gdzieindziej miljonów.

„GWIAZDKA" DO ROKU 1935 posiadała wyłączną tradycję zwyczaju chrześcijańskiego, a w Polsce ściśle katolickiego Obecnie i „gwiazdka" „przystosowała" się do nowej Konstytucji, stając się „wspólnem dobrem wszystkich obywateli."

Czarodziejem, który przystosował „gwiazdkę" do nowych czasów, jest jeden z tych „wszystkich obywateli", którego podpis znają miljony biorących udział w Polskiej Państwowej Loterji Klasowej. Jest nim dyrektor generalnej dyrekcji Loterji Państwowej, St. Markus.

W tych dniach dodatki ilustrowane prasy codziennej zamieściły taki komunikat p. t. „Loteryjny upominek gwiazdkowy":

„W dniu 20 grudnia r. ub. odbyło się po raz pierwszy ciągnienie „gwiazdkowe" Loterji Państwowej. Główna wygrana w wysokości 20.000 zł. padła na nr. 25705. Właścicielką jednej z ćwiartek tego numeru była p. inżynierowa Stanisława Loevy, zamieszkała przy ul. Żórawiej w Warszawie. Powyżej podajemy fotografję p. L."

Rzeczywiście fotografja przedstawia wyraźnie oblicze potomki starożytnego rodu Lewitów. Potomkowie tego kapłańskiego rodu obchodzili w grudniu święto Chanuki (Machabeuszów), Rozchodeszu, obchodzą Purym, Pesach, Tysze-beab (na pamiątkę zburzenia Jerozolimy), Rosz-Haszana, czyli Nowy Rok — dodajmy już 5696... wreszcie Jom-Kipur i wiele innych świąt. Dopiero dzięki p. Markusowi od r. 1935 zaczynają współplemieńcy Lewich czy Loevych otrzymywać „upominki gwiazdkowe". „Gwiazdka" ta winna mieć kształt gwiazdy sześcioramiennej...

Na loterji, jak na loterji, rządzi przypadek, a ten lubi płatać figle, jak choćby z „gwiazdką" dla p. Stanisławy Loevy.

P. S. Dzisiejsza rzeczywistość jest tak stylowa, że, jak donosi „Warsz. Dziennik Narodowy", P. K. O. złożyła życzenia „Wesołych Świąt" Bożego Narodzenia żydom za pośrednictwem „Naszego Przeglądu", natomiast nie uważała za stosowne złożyć życzeń czytelnikom niektórych pism polskich, narodowych i katolickich.

JESZCZE „SPRAWY WIEJSKIE"

NA MARGINESIE ARTYKUŁU: „SPRAWY WIEJSKIE" („Myśl Narod." Nr. 1, r. 1936) śpieszę zanotować:

Artykuł p. K. S. Frycza: „Problemy wiejskie" (nr. 44 „Myśli Nar. r. ub.) można uważać jako tezę, moja odpowiedź nań (nr. 46 „M. N.") była antytezą, p. Józef Świeżyński w art. swym: „Sprawy wiejskie" dał nam syntezę. Synteza ta była potrzebna i autor jej doskonale się wywiązał z podjętego zadania. Jako autorowi antytezy, gdzie, jak wiadomo, najłatwiej jest o pewne uchybienie, niech mi wolno będzie na marginesie art. p. Świeżyńskiego poczynić maleńkie uwagi.

Naprzód co do „klasowego zabarwienia" moich argumentów, jako że „spozieram z okna chaty wiejskiej na doniosłe zjawiska życia", to odpowiedziałem już na ten zarzut w liście do p. Kiniorskiej (nr. 50 „M. Nar." r. ub.), tu tylko jeszcze dodam, że w sprawach, o które chodzi, spostrzeżenia z okna chaty wiejskiej mogą być czasem trafniejsze od tych, jakie się czyni z lotu ptaka lub samolotu.

Całkiem słusznie pisze p. Ś., że nie można tego nazywać karjerą, gdy „ksiądz zostanie wyniesiony do godności biskupiej", uważam bowiem za konieczne przyjąć jako pewnik, że na biskupów powoływani są tylko najlepsi z pośród księży, niezależnie od ich pochodzenia i jeżeli zaszczyt ten spotyka częściej księdza z „panów", to tylko dowód, że ta „krew pańska" coś naprawdę znaczy; tylko nie trzeba zapominać i o tem, że i krew chłopska przyda się Kościołowi, tem bardziej, że tej krwi pańskiej tak jest mało, że nawet na stolice biskupie jej nie wystarcza. Tą uwagą moją chciałbym zamknąć niemiłą, bądź co bądź, dyskusję o „karjerowiczostwie" księży, zgoła niepotrzebnie przez p. K. S. Frycza poruszoną. Wogóle ksiądz i karjera to pojęcia wzajemnie się wykluczające, boć chyba i o X. Ż. nie można powiedzieć, że zrobił on „świetną karjerę".

Dalej (z pewną dozą oburzenia) pisze p. Ś., że ja skrzywdziłem ziemianki, pisząc o niektórych z nich, że nabożeństwa słuchają przez radjo. Czy kaznodzieja, gromiąc z ambony pijaków i złodziei, ubliża tem samem ludziom trzeźwym i uczciwym? Chyba przeciwnie, podnosi raczej cnoty ich i zalety. To też nie gniewam się za ten zarzut na p. Świeżyńskiego, owszem, cieszę się, że niewszędzie jest tak źle jak u mnie, gdzie państwo ze dworów widzi się w kościele tylko podczas wizytacyj biskupich i na pogrzebach kogoś z ziemian, pozatem cały boży rok ławy ich świecą pustkami. Jakże miło jest dowiedzieć się, że gdzieindziej ziemianki „w ogromnej większości spełniają swe obowiązki względem Boga tak, jak to przystoi Polceobywatelce".

Doskonale wyraził p. Świeżyński troskę o autorytet na wsi, dziś tak poważnie przez wpływy destrukcyjne zagrożonej. Bardzo trafnie ujął przyczyny, dla których nauczyciel wiejski, miast oddziaływać na lud dodatnio, psuje go i demoralizuje. Chciałbym tylko sięgnąć nieco głębiej w poszukiwaniu ostatecznej przyczyny tego zjawiska.

Zawód nauczycielski jak i kapłański — to zawód najtrudniejszy, dlatego unikają go synowie sfer wyższych, garną się do niego natomiast przeważnie synowie chłopscy, mniejsza o to narazie, z jakich pobudek — chociażby nawet tylko *propter esum*, to i wtedy zasługują na uznanie, musi przecież ktoś tych obowiązków się podjąć. Chodzi tylko o jedną bardzo ważną rzecz: o p o w o ł a n i e. Pochodzi ono od Boga, ale w dużej mierze zależy też od kandydata do stanu duchownego lub nauczycielskiego. I otóż, gdy seminarjum duchowne w ciągu 5 lat wyrabia to powołanie i pogłębia je, nic podobnego nie można powiedzieć o seminarjum nauczycielskiem, skąd wychodzi młody człowiek

z patentem na nauczyciela, ale sam bez pionu religijnego i moralnego, pełen przytem pychy i zarozumiałości, co jednak nie przeszkadza mu poddać się z całą pokorą pod jarzmo masońskiego Związku nauczycielskiego, który do reszty go deprawuje.

Ksiądz, dwór i nauczyciel, trzy autorytety na wsi, tak bardzo dziś potrzebne, nietylko każdy z osobna, lecz wszystkie razem współdziałające. Gdzież pole, na którem, pomimo wszystko co ich dzieli, mogliby się spotykać? Odpowiedź: Akcja Katolicka. Niestety nawet na tem polu, przy dzisiejszych stosunkach, te trzy autorytety wiejskie schodzić się nie mogą. I tu właśnie tkwi najtragiczniejszy problem naszej wsi.

KS. PRAŁ. P. KRYSIAK

TEATR

„WIELKI FRYDERYK" W TEATRZE NARODOWYM

WIEM od ludzi starszych, którzy jak to się potocznie mówi „zęby zjedli" w teatrze i warszawskie stosunki zakulisowe znają — panie dobrodzieju — na wylot, że ilekroć Teatr Narodowy znajduje się w tarapatach i kierownicy jego zastanawiają się nad sposobami wybrnięcia z opresji, tylekroć ktoś rzuca projekt:

— A możeby tak machnąć „Wielkiego Fryderyka"?

Projekt ten nie zawsze dochodzi do skutku. Nawet zwykle nie dochodzi z najrozmaitszych przyczyn. Ale wymienianie owej sztuki w ciężkich momentach stało się tradycją, żywie bowiem w murach Teatru Narodowego *(ci devant* teatru „Rozmaitości") pamięć usług znakomitych, jakie sędziwy król pruski, wywołany z tamtego świata ćwierć wieku temu przez Nowaczyńskiego, pierwszej scenie polskiej wiernie wyświadczał.

Nic dziwnego, że i teraz dyrekcja owej sceny, wdawszy się w sytuację kłopotliwą, uciekła się pod możną protekcję monarchy pruskiego, który nie omieszkał pośpieszyć jej ze skutecznym, jak zawsze sukursem, w towarzystwie nieodzownego „króla huzarów", generała kawalerji von Ziethena *vulgo* „papy Ziethena".

Sanatorów, okupujących fotele dygnitarskie w zarządzie T. K. K. T., nie odstręczył od skorzystania z owej walnej odsieczy fakt, że autor sztuki p. Adolf Nowaczyński posiada markę pisarza endeckiego, oraz, że ideje sztukę ową nawskroś przepajające zrodziły się w głowie autorskiej nie bez wpływu „Myśli nowoczesnego Polaka" Romana Dmowskiego.

Dmowski właśnie, w dobie popowstaniowej, ośmielił się oświadczyć, że żywi szacunek dla największych wrogów swego narodu. Przed Dmowskim dla prusaków i wogóle dla wrogów żywiono powszechnie tylko ślepą pogardę. Wymagała tego pokutująca w społeczeństwie tradycja romantyczna.

Od Dmowskiego również zaraził się Nowaczyński poglądami na przepoetyzowanie i przeestetyzowanie społeczeństwa polskiego. Wytoczył tedy tym wadom narodowym we „Fryderyku" walkę.

Sprzeczne z utartemi w społeczeństwie poglądami sądy Romana Dmowskiego zostały przez Nowaczyńskiego przejaskrawione, przybrały zabarwienie paradoksalne. Nowaczyński przesolił je, przepieprzył, przepaprykował.

W celu tem skuteczniejszego spopularyzowania wspomnianych wyżej poglądów nie zawahał się przeinaczyć prawdy historycznej. Ze wszystkich Polaków występujących w sztuce, zrobił mniej lub więcej skończonych durniów, ze wszystkich Niemców — jednostki wartościowe. Najbardziej nieprawdziwie przedstawił indywidualność księcia biskupa warmijskiego, Ignacego Krasickiego, stosunkowo najwierniej odmalował charakter wielkiego Fryderyka.

Sztukę napisał bardzo efektownym, zadzierżystym, nafaszerowanym archaizmami i makaronizmami językiem, mającym zresztą nader niewiele wspólnego z autentyczną polszczyzną ośmnastego wieku.

Wyspiański, walcząc w „Wyzwoleniu" z romantyzmem i przepoetyzowaniem społeczeństwa, stworzył z tej sztuki arcydzieło poetyckie.

Arcydzieło poetyckie stworzył przed Wyspiańskim, walczący z romantyzmem i przepoetyzowaniem narodu — Prus, pisząc prozaiczną „Lalkę".

Nowaczyński był konsekwentniejszy. We „Fryderyku" uniknął poezji.

Wystarczyła mu teatralność. Doskonała teatralność. Majsterstwo operowania efektami scenicznemi zapewnia niekiedy utworom dramatycznym powodzenie prawie równie trwałe—jak poezja. *Exemplum:* Scribe.

O tem że majsterstwo scenopisarskie Nowaczyńskiego jest olbrzymie, świadczą wymownie obecne przedstawienia „Fryderyka". W ciągu ćwierćwiecza publicystyczna owa sztuka nie zestarzała się wcale. Jest widowiskiem równie atrakcyjnem, jakiem była przed ćwierć wiekiem. Budzi wśród widzów entuzjazm i ściąga do kas teatralnych tłumy.

Postać tytułową gra genjalnie Solski. Sekundują mu Brydziński (papa Ziethen) i Stanisławski (Krasicki).

S. J. G.

FILM

MAJESTIC: „Całe miasto o tem mówi", film amerykański.

Niezwykle pomysłowy i dowcipny scenarjusz.

Film należy do gatunku sensacyjnych, jednak, jak i lepsze sensacyjne powieści, obfituje w pomysły tego rodzaju, które zainteresują również, a może przedewszystkiem, inteligenta. Bowiem tu, za sensacyjnością, że tak powiem— zewnętrzną, kryje się inna, przeznaczona już dla umysłów bardziej wybrednych. Z pozoru jest to historja gangsterska, jakich wiele, i to w znakomitych filmowych wydaniach, wyprodukowała Ameryka. Jednak sedna rzeczy nie stanowi tu motyw walk policji z bandytami, dość już ograny.

Film opowiada historję skromnego i spokojnego urzędnika prywatnej instytucji, który — przypadek tak chciał — jest bliźniaczo podobny do największego gangstera Ameryki. Punktem wyjścia dla całej historji staje się ucieczka tego opryszka z więzienia. Urzędnik, jego sobowtór, przechodzi teraz szereg perypetyj, mało tego — sam bandyta wyzyskuje dla swoich celów to podobieństwo, terroryzując nieszczęsnego urzędniczynę, z gruntu b. zacną duszę. Widzimy jak psychika tego poczciwca zostaje wytrącona ze zwykłych kolein codziennego kieratu. Widzimy, jak ustosunkowuje się on sam do całej sprawy i do swego otoczenia, dla którego, jako sobowtór bandyty, stał się bohaterem dnia. Dzieje tych wszystkich powikłań i przemian, skreślone w żywych plastycznie i nie pozbawionych humoru obrazach, są, w swym sensie ostatecznym, niezbyt pochlebne, ale b. charakterystyczne dla obyczajowości amerykańskiej.

Możność różnego zagrania: wilka i owieczki w dwu zupełnie jednakowych skórach, daje aktorowi wdzięczne pole do działania. Została też wyzyskana wpełni przez znakomitego aktora, Robinsona.

„Całe miasto o tem mówi" jest najinteligentniej rozwiązanym z serji filmów, opartych na motywie gangsterskim.

PAN: „Manewry miłosne", reż. Jan Nowina-Przybylski i K. Tom.

Najlepsza w tym filmie jest praca operatora i, wynikająca z niej, zmienna ruchliwość treści plastycznej ekranu.

Ruchliwość obrazu na ekranie może pochodzić, jak wiadomo, z trzech źródeł. W pierwszym wypadku: gdy rusza się cokolwiek przed unieruchomionym, fotografującym

to aparatem, W drugim — gdy treść fotografowana jest nieruchoma, a rusza się sam aparat (t. zw. zdjęcia wózkowe). Trzeci wypadek stanowi kombinację dwu pierwszych (np. człowiek idzie przez las, zaś aparat fotografujący podąża za nim). Najmniej kosztowny i technicznie najprostszy, ale i zarazem najuboższy wizualnie, jest pierwszy rodzaj zdjęć, doniedawna w naszych filmach najczęstszy. Wyobraźmy sobie fotografowanie rozmawiającej (na siedząco) pary. Wówczas cały ruch zamiera na ekranie! Na dłuższy dystans jest to nieznośne.

W „Manewrach miłosnych" widać dbałość o bogactwo i zmienność treści plastycznej ekranu (dużo zdjęć wózkowych i kombinowanych). Natomiast scenarjusz jest ubogi. W pierwszej części utworu o b. niezawiłym węźle intrygi, prawie nic się nie dzieje, wskutek nadmiernie powolnego rozwoju akcji, drugą — ożywiają Zimińska i Sielański, śmiesząc publiczność, jako pokojówka i ordynans, przebrani za swych państwa. W tych figlach coprawda (i dowcipnych w tem miejscu djalogach) b. mało jest kina, a dużo kabaretu.

Sielański ze swą flegmą przypomina sposób bycia komików amerykańskich, a inteligentna gra Zimińskiej ma w sobie duże finezji. Mankiewiczówna ładnie śpiewa i nic pozatem; jej partner Żabczyński jest swobodny i bez wyrazu. Nie wyzyskano znakomitej tancerki, Lody Halamy, która w tym filmie przypomina rumaka przebierającego nogami na uwięzi. Jest tu również hrabia, gubiący spodnie, życzymy filmom krajowym, by corychlej zagubiły podobne pomysły. Całość (wzorowana ściśle na operetkach filmowych zagranicznych), obok wspomnianych już zalet natury wizualnej, nie posiada — cennej w takich wypadkach — płynności rytmicznej.

Muzyka Warsa, operator: A Wywerka.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Rychliński Jerzy. Przygody Krzysztofa Arciszewskiego. Warsz. Książnica-Atlas.

Karpiński Stan. Mjr-pilot. Polskie skrzydła w moich lotach długodystansowych. Z portretem. Warsz. Książnica-Atlas. S. 263.

Glixelli Stefan. W drugą rocznicę zwinięcia 52 katedr w szkołach akademickich. Lwów 1935. Dom Książki Polsk. S. 16.

Wielkopolski St. Walka o lepszy ustrój gospodarczy (dystrybutyzm). Cieszyn 1935. Str. 36.

Płoń Michał, inż. Projekt racjonalnej reformy podatku przemysłowego. Warsz. 1936. Dom Książki Polskiej. Str. 16.

Ludwig Emil. Bismarck. Przeł. L. Belmont. Warsz. Renaissance.

Stekel Wilhelm. Wychowanie rodziców. Warsz. Renaissance.

Maurois André. Wizerunek. Warsz. Pol. Tow. Prz. Książki.

Mauriac Franc. Pustynia miłości. Powieść. Przeł. G. Karski. Warsz. Pol. Tow. Prz. Ks.

Adler Alfred. Znajomość człowieka. Charakter. Warsz. Pol. Tow. Prz. Ks.

Wasilewski Zygmunt. Aspazja i Alcybjades. Z dziejów powieści warszawskiej. Warsz. 1935. Str. 128.

Rocznik Literacki 1934. Warsz. 1935. Instytut Literacki. S. 331.

Ossendowski F. D. W krainie niedźwiedzi. Wyd. II. Warsz. 1935. Dom Książki Polskiej.

Rall Theodor dr. Dentsches Katholisches Schrifthum. Einsiedeln 1926. Benziger et C-o. S. 260.

Przegląd Filozoficzny. Rocz. 38 zesz. 3. Warsz. 1935.

Bułhak Jan. Estetyka światła. Zasady fotografji Z ilustr. autora. Wilno 1926. Skład główny w księgarni św. Wojciecha. S. 280 w 4-ce.

WYJAŚNIENIE SĘDZIEGO G. LAUTERA

Na podstawie art. 22 dekretu z dn. 7.II.1919 r. w przedmiocie tymczasowych przepisów prasowych (Dz. Pr. P. P. nr. 14, poz. 186) proszę o zamieszczenie w najbliższym numerze czasopisma „Myśl Narodowa" poniższego sprostowania wiadomości, wydrukowanej w numerze 52 z dnia 22.XII.1935 w rubryce p. t. „Głosy":

Wydanie przezemnie książki „Prawo upadłościowe i prawo o postępowaniu układowem" poprzedził udział mój, jako praktyka sądowego w dziedzinie prawa upadłościowego, w pracach Ministerstwa Sprawiedliwości, związanych z powstawaniem nowego prawa upadłościowego i prawa o postępowaniu układowem. Z tego tytułu dysponowałem źródłowym materjałem, dotyczącym przebiegu prac przygotowawczych nad wydaniem nowego prawa, w szczególności — protokułami posiedzeń podkomisji postępowania upadłościowego Komisji Kodyfikacyjnej. Gdy praca moja nad książką była ukończona w całości, o ile chodzi o prawo o postępowaniu układowem, a w połowie mniej więcej, o ile chodzi o prawo upadłościowe, otrzymałem z M-wa również pierwotny projekt uzasadnienia Komisji Kodyfikacyjnej do prawa upadłościowego.

Jest rzeczą oczywistą, że przy pisaniu komentarza do nowego prawa, jeszcze nie mającego za sobą dorobku doktryny i orzecznictwa, było moim podstawowym obowiązkiem zapoznanie się ze wskazanemi wyżej materjałami przygotowawczemi i skontrolowanie w świetle tych materjałów, jako najbardziej autorytatywnego źródła, własnych spostrzeżeń i wniosków. Na tem polega wpływ, jaki na moją pracę wywarł pierwotny projekt uzasadnienia. Niema mowy o tem, abym miał zamiast własnych objaśnień podawać tekst projektu uzasadnienia *in extenso*, czy nawet po dokonaniu nieistotnych przeróbek, wprost przeciwnie, praca moja różni się wydatnie od owego projektu uzasadnienia treścią, układem, stylem i językiem, co odrazu rzuca się w oczy przy zestawieniu obu tekstów. W pewnych kwestjach (np. w istotnej sprawie restytucji praw wierzycieli we wznowionem postępowaniu upadłościowem, art. 199 pr. up.) zająłem stanowisko odmienne od ówczesnego brzmienia projektu uzasadnienia.

W tych warunkach zgodnie z mojem najgłębszem przekonaniem nie miałem obowiązku wskazania czy to protokułów obrad Komisji Kodyf., czy też projektu uzasadnienia, jako źródeł mojej pracy, która wbrew twierdzeniom, podanym w prostowanym artykule, stanowi przejaw mojej własnej działalności duchowej i zawiera własne moje rozważania, oparte bezpośrednio na tekście prawa upadłościowego i prawa o postępowaniu układowem, na ogólnych zasadach prawa i na wieloletniej praktyce sądowej. Samodzielności mojej pracy nie podważa bynajmniej okoliczność, że z charakteru tej pracy-komentarza, ściśle związanego z tekstem, wynika nieodzowność omawiania i rozstrzygania szeregu tych samych lub zbliżonych tematów i zagadnień, jakie omówione były w projekcie uzasadnienia i których większość przyjść musi na myśl nawet i prawnikowi, nie znającemu motywów prawodawczych.

Zresztą nie miałem nietylko obowiązku, ale i możności wskazania projektu uzasadnienia prawa upadłościowego, gdyż w czasie drukowania mojej książki projekt ten nie miał określonej postaci, jako jeszcze ostatecznie nieopracowany, nieuchwalony i nieprzeznaczony do publikacji. Istotnie, przyszłość wykazała, że projekt ten został w następstwie zmieniony, przyczem treść tych zmian nie była mi zupełnie znana. Z tego też wyłącznie powodu, po dokładnem rozważeniu kwestji, uznałem za niemożliwe powołanie się na ten nieostateczny projekt uzasadnienia. Uczynić to musiałem wbrew mojemu zwyczajowi, stosowanemu nietylko w pracy pisarskiej, lecz nawet w orzeczeniach sądowych, wydawanych po mojem przewodnictwem, oraz mimo iż niewątpliwie przez powołanie się na projekt uzasadnienia książka moja, nie tracąc nic na opinji pracy samodzielnej, zyskałaby zewnętrznie znamię opracowania źródłowego.

Wszelkie usiłowania podważenia wartości mojej pracy upadają w obliczu autorytatywnej dodatniej oceny prof. Br. Stelmachowskiego, członka podkomisji postępowania upadłościowego Komisji Kodyfikacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej, który zamieścił o niej następującą recenzję: „Zadniem autora było opracowanie komentarza dla praktyki sądowej „bez obciążenia wykładu nadmiarem dociekań teoretycznych". Cel ten autor osiąga w wysokiej mierze... Art. 21 jest, jak zresztą wszystkie artykuły, komentowany w sposób jasny i prosty... Komentarz można praktyce gorąco polecić" (kwartalnik „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny", rok 1935, zeszyt IV, str. 788).

Podkreślam wreszcie, że kwestja stosunku pracy mojej do uzasadnienia projektu prawa upadłościowego była przedmiotem rozważań Komisji Kodyfikacyjnej, przyczem Prezydjum Komisji Kodyfikacyjnej w składzie: Prezydent B. Pohorecki, Wiceprezydenci: St. Bukowiecki, I. Łyskowski, K. Lutostański po rozpatrzeniu referatu podkomisji postępowania upadłościowego uchwałą z dnia 6 grudnia 1935 roku uznało całkowitą bezzasadność stawianych mi zarzutów.

Warszawa, 27 grudnia 1935 r. GUSTAW LAUTER

POKŁOSIE

BUKIET PIĘKNYCH KWIATÓW

JAKIE armje składają się na wspólny front, utworzony w celu zduszenia Włoch? Oddajmy głos znakomitemu publicyście angielskiemu H. Belloc'owi, jako temu, który ma dobry punkt obserwacyjny, a będąc Anglikiem nie może być podejrzany o stronniczość na rzecz tak powszechnie piętnowanego napastnika. Oto co pisze w *„G. K.'s Weekly“* z dn. 26 grudnia 1935 r.:

„Rozmaite przyczyny zbiegające się w ataku na Włochy, dziwne przymierza różnych kontyngentów, jakie zjednoczyły się, aby zniszczyć, jeżeli będą mogły, rząd i potęgę tego kraju, są wielce różnych rodzajów i gatunków.

Najwybitniejszą z nich, najgodniejszą, i to o wiele, jest konieczność polityczna naszego kraju. Silne mocarstwo na Morzu Czerwonem, nowe i wzrastające mocarstwo militarne na Śródziemnem, jeżeli będzie nam wrogie, stanie się groźne dla tego, czem Anglja żyje — dla eksploatacji Wschodu i ogólnego handlu między Europą i Azją, do czego należy dodać witalną rolę Egiptu i wysoki haracz, pobierany pośrednio z tego kraju i z Sudanu. Włochy nie musiały być uczynione naszemi wrogami — jednak teraz jest już zapóźno naprawić to fatalne głupstwo.

Drugą skolei co do wagi z grup tego aljansu prawdopodobnie jest znakomicie zorganizowany międzynarodowy ruch komunistyczny, kierowany przez inteligentnych i aktywnych żydów, działających z Moskwy, i których głównym publicznym przedstawicielem jest Wallach Finkelstein, wysuwany pod fałszywem nazwiskiem „Litwinow“ w dziś już próżnej nadziei, iż publiczność weźmie go za Rosjanina.

Kogo należy postawić na trzeciem miejscu, nie jest tak łatwo powiedzieć, skłonny jestem jednak myśleć, że miejsce to należy się międzynarodowemu wolnomularstwu.

Jest wiele innych składników w tym aljansie; są masy uczciwych ludzi, którzy nie znoszą nieograniczonych monarchij; jest wielu zacofanych ludzi, którzy wciąż jeszcze wierzą w instytucje parlamentarne i żyją w złudzeniu, że zawodowi politycy rzeczywiście „reprezentują“; działają także siły finansowe, również międzynarodowe, w zamiarze zebrania korzyści, jakie wynikną z narzuconych Włochom po ich klęsce pożyczek. Jest to klasyczny chwyt lichwiarzy w każdym kryzysie. Dalej istnieje nienawiść i pogarda, jakie odczuwa masa o kulturze protestanckiej wobec kultury katolickiej. W obecnej chwili działa również potężny motyw upokorzenia. Szaleństwo naszej polityki zagranicznej zawiodło nas w ślepy zaułek, z którego jedynie może wyprowadzić droga narodowego upokorzenia, a patrjoci nie łatwo się na taką drogą godzą.

Wszystkie te motywy działają, a można do nich dodać silny purytański motyw moralnego oburzenia na złe uczynki innych ludzi. Lecz jakkolwiek są liczne kontyngenty, składające się na pstry aljans przeciwko Włochom i całej ich przyszłości, to jednak postawię masonerję jako trzecią na liście. Sądzę, że idzie ona zaraz po interesie Wielkiej Brytanji i zorganizowanej kampanji moskiewskich żydów.

Łatwo jest przesadzić siłę międzynarodowego wolnomularstwa, a pokusa do tej przesady jest tak wielka, że wielu ludzi wybitnej inteligencji uległo jej w przeszłości — ale swoją drogą w przeszłości wolnomularstwo było potężniejsze niż dziś. Masonerja nie jest już dziś związkiem tajnym. Każdy wie wszystko o niej i w gruncie rzeczy nie ma tak wiele do wiedzenia. Jej zasady są dość niewinne, jednak jedno jest godne uwagi i może być wyjaśnione tylko przez asocjację idej, mianowicie to, że gdziekolwiek Kościół katolicki jest silny, tam masonerja staje się organizacją i maszyną kierującą temi siłami politycznemi, które mają na celu zniszczenie katolickiej społeczności“ (podkreślenie autora).

Tak oto według angielskiego publicyty przedstawia się bukiet, a raczej wiązanka kwiecia, która ma się stać stryczkiem dla Włoch i całej ich przyszłości: interesy Wielkiej Brytanji, komunizm, kierowany z Moskwy, masonerja, nienawiść świata protestanckiego do kraju o kulturze katolickiej, purytańskie osądzanie bliźniego za źdźbło w jego oku, chciwość międzynarodowych lichwiarzy... wszystko to złączyło się w świętem oburzeniu na napastnika tak szybko, że Liga Narodów nawet zapomniała o rozpatrzeniu motywów tego napastnika.

A jeden z francuskich korespondentów, opuszczając Abisynję, opisuje barbarzyński ucisk, w jakim panujące plemię trzyma większość podbitej ludności i tak kończy swój reportaż: „Jeżeli jest jakiś kraj na świecie, gdzie nadanie mandatu byłoby usprawiedliwione, gdzie nawet ludzkość tego wprost wymaga, to chyba są to kolonje abisyńskie, Ziemie Nizinne, najechane gwałtem i utrzymywane uciskiem“ (E. Helsey w *„Le Journal“* z dn. 4 b. m.)

Czy nie przesadzamy nieco w sentymencie dla negusa? Coprawda nie wszędzie ten sentyment panuje tak powszechnie. Dzienniki nasze podały wiele szczegółów o debacie w parlamencie francuskim, lecz pominęły ten fakt bądź co bądź interesujący, że podczas decydującego posiedzenia, na którem ów aljans sankcjonistów prowadził atak na koncyljacyjną politykę Lavala, w pobliżu gmachu parlamentu była skonsygnowana policja i *garde mobile*, gdyż było niebezpieczeństwo, że w razie obalenia Lavala ulica ruszy przeciwko parlamentowi i powtórzą się wypadki z 6 lutego 1934 roku. Paryż widocznie zachowuje jakąś miarę w ocenie Włoch i Abisynji.

ARGUS

NA MARGINESIE

Pan Korab-Kucharski, korespondent paryski sanacyjnej „Gazety Polskiej“ podjął się wydawać w interesie propagandy czasopismo *„Les Cahiers Polonais“*. W pierwszym kajecie rzuca Francuzom obrazy, jak Polska wygląda. O Stronnictwie Narodowym pisze:

„Obóz narodowy: Rachunek jego obciąża się długotrwałym sabotażem budżetu wojskowego. W polityce zewnętrznej, demokracja narodowa oskarżona jest o zupełne niezrozumienie polityki państwa samodzielnego oraz o poszukiwanie zagranicznych poparć, często obciążających, celem utrzymania swych wpływów wyborczych“...

Tak pisze obywatel Francji, o którą walczy, jako o sojusznika Polski, Stronnictwo Narodowe.

*

A cóż p. Kucharski pisze o sanatorach („pułkownikach“)?

— „Niedawno, pewien pułkownik... A może nie był on nigdy pułkownikiem, ale tak nazywa się w Polsce tych zapaleńców, tych fanatyków, tych ascetów zmartwychwstania... Więc jeden z tych ludzi bez trwogi i skazy tak mi powiedział: „Na zachodzie usiłują ciągle, i to mnie złości, określić barwę naszych koszul. Czarne, brunatne? Tak natrętnie pytającemu odpowiedziałem raz, że jesteśmy bez koszul“. Określenie ściśle wyraża to, że Polska gotowa jest odmawiać sobie wszystkiego by żyć“.

A dalej:

— „Jako prezes rady ministrów, p. Leon Kozłowski nadal, jak przedtem, jadał pośpiesznie swój obiad, jaki był dla wszystkich, w skromnej restauracji“.

*

Po wydzwonieniu godziny dwunastej w noc Sylwestrową dał się słyszeć ze słuchowiska warszawskiego dyrektor radja, p. Górecki. W imieniu historji w poszumie bieżącego czasu oznajmił, że zamyka r. 1935 i otwiera r. 1936. Rok ubiegły — rzekł — był rokiem przełomowym... Ale czy przełamało się na lepsze, czy na gorsze, z tego nijak nie mógł się wytłumaczyć. I tak źle i tak niedobrze.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.